Zeszyty Tłumackie

I KWARTAŁ 1999 ISSN: 1426-4129 Nr 1 (13)

Pismo Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich
Ogólnopolskiego Oddziału Tłumaczan — Wrocław

Spis treści

Życzenia Świąteczne ... 1
Wielkanoc Polska (fragmenty z „Pieśni o domu naszym" – Wincenty Pol ... 1
Otwórzcie drzwi Chrystusowi – Edward Śniechowski ... 2

I Sylwetki kresowe

O Franciszku Karpińskim i jego poezji – Antoni Siewiński ... 3
Dziadek – Harry Duda ... 4
Siewca – Harry Duda ... 6
Wspomnienie o dr. Karolu Krausie – Krystyna Ossowska-Korta ... 7

II Historia

Tyśmienica miasto na rubieżach Rzeczypospolitej – Tadeusz Pelikan ... 7

III Tłumacz w dwudziestoleciu międzywojennym

Tłumacka serenada – Anna Jasińska (Nusia Tomyn) ... 9
Ad vocem – Danuta Tabińska-Juhasz ... 10
Elektrownia i młyny w Tłumaczu – Romuald Tuzinkiewicz ... 10

IV Tłumacz w latach wojennych 1939-1945

Moja Wielkanoc w 1944 (c.d. ZT nr 2 (6) 97) – Jan Johnson ... 11
Wyrok Stalina z 5 III 1940 r. (w 59 rocznicę zbrodni dokonanej w Katyniu, Ostaszkowie i Miednoje) ... 12
Marsz Sybiraków – Marian Jonkajtys ... 12
Więzienie w Chersoniu – Pamiętnik J. A. Jakubowicza (c.d.) ... 13

V W cieniu białych nocy i czarnych dni

Wspomnienia spisane po przeszło pięćdziesięciu latach – Janina Kochańska-Reich ... 15

VI Kościół pw. św. Anny – tłumaccy księża

Powojenne losy świątyń na Kresach – Tadeusz Pelikan ... 18
Nowowybudowane cerkwie w Tłumaczu ... 20

VII Tłumacki Holocaust

Epilog – Danuta Tabińska-Juhasz ... 21
Plan tłumackiego getta ... 22

VIII Wiadomości z życia tłumaczan

Przeżyjmy to jeszcze raz – Janina Petrus-Duszyńska ... 24
Spotkanie opłatkowe – Roma Lityńska-Króliczek ... 27

IX Odeszli ... 28

Komunikat ... 29
Lista Ofiarodawców za I kw. 1999 r. ... 29

Okładka: Tłumacz – współczesne centrum, dawna ul. Piłsudskiego

Redaguje zespół w składzie: Danuta Tabińska-Juhasz – redaktor naczelny
Helena Bilińska, Anna Panachida-Bocheńska, Krystyna Ossowska-Korta

Redakcja techniczna: Franciszek Borkowski

Adres Redakcji: TMLiKPW Ogólnopolski Oddział Tłumaczan. 50-079 Wrocław,
ul. Ruska 32/33, I p. Tel. 071/44-88-93.
Konto bankowe PKO-BP IV O/Wrocław 10205255-434384-270-1

Materiałów nie zamawianych Redakcja nie zwraca. Zwracamy natomiast przysyłane nam zdjęcia lub widokówki.
W publikowanych tekstach zastrzegamy sobie prawo dokonywania skrótów, zmian tytułów
oraz poprawek stylistyczno-językowych.

Alleluja! Chrystus Pan zmartwychwstał – prawdziwie powstał!

Wiele łask Zmartwychwstałego,
radości w dni świąteczne i powszednie,
ufności w chwilach niepokoju i
pogodnych, radosnych Świąt Wielkanocnych
Tłumaczanom i wszystkim naszym
Czytelnikom życzą

Redakcja ZT
i Zarząd Ogólnopolskiego
Oddziału Tłumaczan

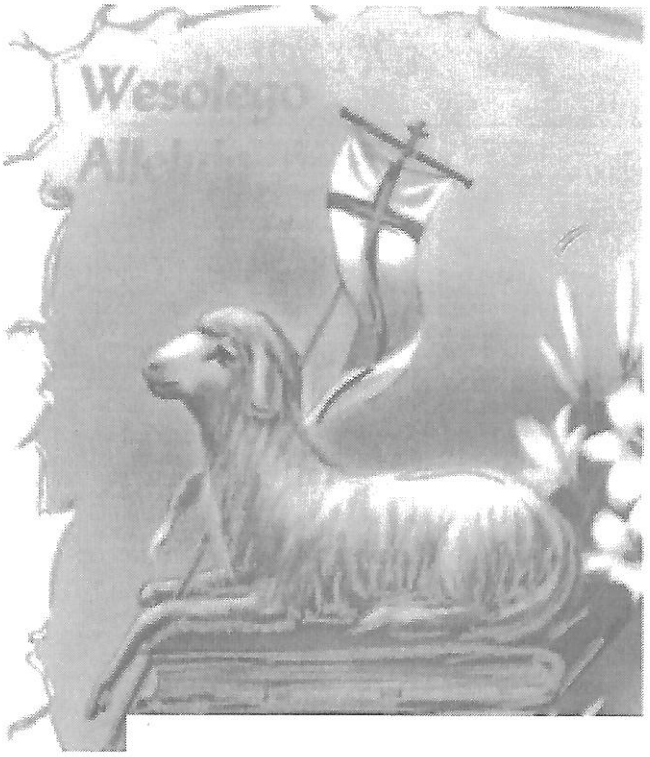

Wielkanoc Polska

Wincenty Pol

Fragmenty z „Pieśni o domu naszym" – oddające dokładnie prastary polski obyczaj:

Nawarzyli i napiekli,
„Alleluja" sobie rzekli,
Ot i gości każdy wita!

Jakże suto zastawione
Długie stoły u ścian wkoło!
Staropolskie to święcone,
Więc zabawim się wesoło.

Bo co wszystkich tak weseli,
To dla serca w ziemi rajem,
Ot gospodarz jajkiem dzieli,
To i my się dzielim wzajem!

Świat zwykł chwalić te powaby
Gładkich panien – zawdy, wszędy;
Lecz w kąt panny, kiedy baby
Tak wyrosłe stoją w rzędy.

Co u licha! dzik zuchwały
W poprzek stołu legł układnie:
Jakże z nim się spotkać padnie,
Kiedy widzę jeszcze cały?

Nie ma troski, bo nadziany
Kopą pardwi – przystęp łatwy
I głowizną przekładany:
A są także kuropatwy.

W drugim końcu w równej mierze
Tej zastawy sarniuk strzeże
Stanął niby w małym lesie
I złocone rożki niesie.

Miasto darni mszą się puchy
Od fiołków i rzeżuchy.
Co tam stoi między dzikiem
A sarniukiem – któż to zgadnie?

Kto to przejdzie wszystko likiem?
Co dom daje tak już ładnie?
Tutaj szynki – tu pieczenie –
Więc i sarnie i jelenie.

I cielęce i baranie –
A co bliżej, to już stanie
Ta kiełbasa pozwijana,
Pisankami przetykana.

Aż i tutaj – i tam prosię
Już na krańcu stołu staje.
Bo tu ledwo dopchało się,
A więc w pyszczku chrzan podaje.

Gęsto między tem mięsiwem
Leżą rzędy ułożone,
Te mazurki postrojone
Co sąsiadek są podziwem.

Więc i placki przekładane,
I kołacze te rumiane,
Co po sobie gęsto stoją
I barwinkiem stół ten stroją.

W środku stołu stoi wiernie
I urobion jest misternie
Ów baranek, co prowadzi
I te grzechy świata gładzi.

Otwórzcie drzwi Chrystusowi !

W październiku 1998 r. świat chrześcijański, a zwłaszcza my katolicy, a Polacy szczególnie, uroczyście obchodzili 20-lecie pontyfikatu Jana Pawła II. Do dnia dzisiejszego pamiętam słowa wypowiedziane z Bazyliki św. Piotra: Non abbiate paura! Nie lękajcie się! Oraz Otwórzcie drzwi Chrystusowi. I zaraz przypomina mi się mały rysunek w ołówku z końca XIX w., znajdujący się od lat na kominku naszej sypialni. Wykonany przez jakiegoś nieznanego wiktoriańskiego artystę, przedstawia Chrystusa stojącego przed domem i pukającego do drzwi. Widocznie czeka już bardzo długo, bo wejście zarosło bluszczem i chwastami, a klamkę do drzwi umieszczono wewnątrz. Nad drzwiami widnieje napis: Behold – I Stand at the Door and Konock. To słowa wyjęte z Apokalipsy św. Jana – księga 3, wers 20: Oto stoję u drzwi i kołaczę: jeśli ktoś posłyszy mój głos i drzwi otworzy, wejdę do niego i będę z nim wieczerzał, a on ze mną.

Ten mały rysunek z naszego kominka jest oparty na jednym z najsławniejszych religijnych obrazów wiktoriańskich Anglii (1853) – „The Light of the World" (Światło świata), wykonanym przez znanego malarza Williama Holmana Hunta (1827-1910) z Bractwa Rafaelitów, późnego romantyzmu (1848-1857), grupy angielskich malarzy i poetów, wzorujących się na sztuce włoskiej XIV-XV w. Temat ten sam, lecz zamiast krzyża (na rysunku), Chrystus trzyma zaświeconą lampę, która rozjaśnia mroki świata. Dzieło Hunta można oglądać w Wardens and Fellows of Keble College, Oxford, drugą wersję w St. Paul's Cathedral w Londynie, a małą w Manchester City Gallery.

Panie! Nie musisz pukać do naszego domu. Wszystkie drzwi dla Ciebie stoją otworem. Na alarm nie zwracaj uwagi, bo to tylko obrona przed złymi ludźmi. Ty możesz być naszym gościem o każdej porze dnia i nocy. A jeżeli będziesz miał trochę czasu, wstąp do naszej sypialni – pierwsze piętro, drugie drzwi na prawo, zatrzymaj się. Na kominku zobaczysz Swój portret. Stoisz przed drzwiami i nikt Ci nie otwiera, a gdzieś z dala usłyszysz głos ze schodów Bazyliki św. Piotra: Otwórzcie drzwi Chrystusowi. To tymi słowami Papa Wojtyła zwraca się do nas i całego świata.

Edward Śniechowski

Sylwetki kresowe

O Franciszku Karpińskim i jego poezji

Antoni Siewiński

Franciszek Karpinski żył w bardzo dramatycznym dla Polski okresie: od Augusta III Sasa do Królestwa Polskiego: 1741-1825.

Tak o nim, o poecie sentymentalnym, mówił Kazimierz Brodziński, prekursor romantyzmu w literaturze polskiej:

„Z wielu, którym wypadło przeżyć ojczyznę, ośmielam się wspomnieć nestora żyjących poetów, Karpinskiego. W wiejskim ustroniu pędzi ten narodowy śpiewak resztę dni cnotliwych i spokojnych, jaką jest jego poezja. A tkliwe jego pieśni powtarza po całym narodzie swobodna młodzież, już do prostych wieśniaczych chat przeniesione."

Urodził się na Pokuciu w Hołoskowie koło Ottyni powiat Tłumacz. Jego ojciec pełnił obowiązki zarządcy jednego z majątków Potockich. Ten skrawek Polski położony daleko na południowym wschodzie jest mało znany wśród urodzonych po tej wojnie Polakom.

O dolinie Prutu tak pisze poeta:

„Prucie, w którego przeźroczystej wodzie
Białe umywa nogi Pokucianka...
Ja przecie kocham twe brzegi."

W okresie II Rzeczypospolitej w tamtych okolicach były liczne miejscowości wypoczynkowe: Jaremcze, Worochta, Tatarów. Jeszcze teraz w moim domu jest liżnik – kilim tkany z długiego włosia owczego.

Tam pozostawił po sobie romantyczną legendę zbójnik Czarnohory Dobosz. Podobno narodziny chłopca – Franciszka łączą się z tymże Oleksym Doboszem, który wraz ze swymi mołojcami wtargnął do dworu Karpińskich – a widząc przychodzące dziecko na świat, pozostawił rodzinę w spokoju. W takich oto okolicznościach przyszedł na świat nasz Karpiński w roku 1741.

W swojej autobiografii pisze, że nie miał szczęścia do mecenasów. Daleko położone Pokucie nie sprzyjało zaproszeniom na Obiady Czwartkowe do Łazienek przez Króla Stasia. Z czasem zmieniła się pozycja Karpińskiego. Odwiedził go raz Julian Niemcewicz i opisał wieczór spędzony w skromnym domku śpiewającego poety już w Dobrowodach. Do końca życia poszukiwał spokojnej przystani życiowej.

W Karpińskim odzwierciedliły się różne odcienie sentymentalizmu, który nie był jedynym stylem literackim czasów stanisławowskich.

Nazywano go poetą sentymentalnym. Jego dziełem są do dzisiaj znane i co najważniejsze śpiewane sielanki. Oto ich przykłady:

„Do Justyny
czyli: tęskność na wiosnę.
Już tyle razy słońce wracało,
I blaskiem swoim dzień szczyci;
A memu światłu cóż to się stało,
Że mi dotychczas nie świeci?"

Do najbardziej znanych sielanek należy oczywiście „Laura i Filon" ze swoją wyśpiewaną przez pokolenia miłością dwojga młodych:

„Laura:
Już miesiąc zeszedł, psy się uśpiły,
I coś tam klaszcze za borem.
Pewnie mnie czeka mój Filon miły
Pod umówionym jaworem.
Nie będę sobie warkocz trefiła,
Tylko włos zwiążę splątany,
Bobym się jeszcze bardziej spóźniła:
A mój tam tęskni kochany."

Potrafił być i rozumnym Polakiem, który widział nieprawości swego wieku. Wiersz oddający dramat upadku ojczyzny po rozbiorach jest doskonałym tego przykładem:

„Żale Sarmaty nad Grobem Zygmunta Augusta
ostatniego Polskiego Króla z Domu Jagiellonów"
„Ty śpisz Zygmuncie! a twoi sąsiedzi
Do twego domu goście przyjechali!
Ty śpisz! a czeladź przyjęciem się biedzi
Tych, co cię czcili, co ci hołdowali!
Gorzkie wspomnienie, gdy szczęście przeminie.
Czemuż i pamięć o nich nie zaginie?
Nie zostawiłeś syna na stolicy
Przez jakieś na Boga rozgniewanie.
Którego by wnuk dziś po swej granicy
Rozrzucał postrach i uszanowanie!
Po tobie poszła na handel korona,
Tron poniżony i rada stępiona."

Wiersz napisany około roku 1801, gdy traktat Napoleona z Austrią pominął sprawę polską, mimo poświęcenia walczących legionistów Dąbrowskiego.

O „Pieśniach Nabożnych"

Zdobyły sobie one znaczące miejsce w polskiej kulturze religijnej, są jej klasycznym przykładem. Ich narodowe cechy łączą się z ludowością. Nie ma chyba Polaka i Polki, którzy nie potrafiliby zaśpiewać wszystkich zwrotek Franciszka Karpinskiego „Pieśni Porannej"

„Kiedy ranne wstają zorze,
Tobie ziemia Tobie morze,
Tobie śpiewa żywioł wszelki,
Bądź pochwalon Boże wielki!
A człowiek, który bez miary
Obsypany Twymi dary,
Coś go stworzył i ocalił,
A czemuż by Cię nie chwalił
Ledwie oczy przetrzeć zdołam,
Już do mego Pana wołam,
Do mego Pana na niebie,
I szukam Go koło siebie.
Wielu snem śmierci upadli
Co się wczora spać pokładli;
My się jeszcze obudzili
Byśmy Cię, Boże, chwalili."

Tej „Pieśni Porannej" towarzyszy „Pieśń Wieczorna" równie znana, jak tamta:

„Wszystkie nasze dzienne sprawy
Przyjm litośnie, Boże Prawy!
A gdy będziem zasypiali,
Niech Cię nawet sen nasz chwali.
Twoje oczy obrócone
dzień i noc patrzą w tę stronę,
Gdzie niedołężność człowieka
Twojego ratunku czeka!
Odwracaj nocne przygody,
Od wszelkiej broń nas szkody.
Miej nas wiecznie w Twojej pieczy
Stróżu i Sędzio człowieczy."

Do tej dwójki „Pieśni Pobożnych" dochodzi następna o tytule: „Na procesyją Bożego Ciała" śpiewaną przez nas co roku na początku lata przed ołtarzami przygotowywanymi przez parafian.

„Zróbcie Mu miejsce, Pan idzie z Nieba
Pod przymiotami ukryty chleba.
Zagrody nasze widzieć przychodzi,
I jak się Jego dzieciom powodzi"

Jest to obraz dobrego Boga jak gospodarza odwiedzającego swoje dzieci i ich domy. Jest w tym coś z podań ludowych: „gdy pan Jezus chodził po ziemi z Pieterpawłam".

Ciąg dalszy będzie w ZT IV kw. „Dzieje jednej polskiej kolędy"

25 marca br. minęło 110 lat od dnia urodzin profesora Mariana Mierzwińskiego, znakomitego polonisty i wychowawcy młodzieży gimnazjalnej w Tłumaczu, a po wojnie w Prudniku na Śląsku Opolskim. Zamieszczone poniżej wspomnienie znanego opolskiego poety i publicysty Harrego Dudy, jednego z licznych wychowanków Profesora, przybliża sylwetkę tego wybitnego pedagoga, którego uczniem i ja miałem szczęście być.

Obok wiersz Harrego Dudy, napisany z okazji Zjazdu Absolwentow Liceum Ogólnokształcącego w Prudniku w 1995 r.

Tadeusz Kukiz

Dziadek

(Przedruk z: „Trybuna Opolska" – Magazyn 1980 r. nr 203 (19, 20, 21 września 1980))

Harry Duda

Dla mnie, nastolatka – wiekowy, ale postawny, wyprostowany. Siwe włosy zawsze „na jeża", równo przystrzyżony wąs, potężnie wysklepione czoło. Człowiek pamiętający Galicję, Franciszka Józefa, dwie wojny. Człowiek, w którego ustach „Uniwersytet (w wymowie zawsze Uniwer-zytet) Jagielloński" i nazwiska profesorów – zwłaszcza Zenona Klemensiewicza – zyskiwały kształt tajemniczy i katedralnie wzniosły. Już w ósmej klasie – bywało – opowiadał nam o tym Uniwersytecie, na którym studiował, i potem, przez lata następne, stale powracało to wciąż żywe echo Jego życia. Żywe, bo zmienne urodą zawsze nowych kształtów – w aurze zadumy, przelotnego uśmiechu, anegdoty lub ostatecznego rozstrzygnięcia. Zaglądaliśmy wraz z Nim w Przeszłość i z podziwem dawaliśmy się prowadzić ostrości Jego wzroku. Kochał ten Uniwersytet – co czuliśmy, nie rozumiejąc. Był on jakby Jego wewnętrzną szkatułą; ilekroć do niej sięgnął, wydobywał coś jak klejnot czyste i jak Prawda ważkie. Uniwersytet był Wyrocznią dla Niego, a przez Niego – dla nas. I już z samego brzmienia głosu, jego ulotnej barwy, wnioskowaliśmy, których uczonych uważał za autorytet najwyższy, a których – nie. Z właściwą bowiem sobie rzetelnością przedstawiał nam poglądy różne, wskazując ich autorów; lecz nie zawsze je komentował, wybór pozostawiając niejako nam. I wiem jedno: jeśli, po dziś dzień, stając pod murami Jagiellońskiej Wszechnicy słyszę jej serce (jak się słyszy dzwon) i czuję jakąś magnetyczną bliskość; jeśli doznaję jej wieku i piękna, to również jest to echo – teraz już mojego życia, choć nie dane mi było uczyć się w jej murach. Przedłużone echo tamtego...

„Dziadek"... Profesor Marian Mierzwiński. Rozkochany w Mickiewiczu, cicho gorejący romantyk – sam jakby „arka przymierza między starymi i nowymi laty". Człowiek, który umiał powiedzieć, czym są Prawda i Piękno. Człowiek, który z lekcji „polaka" czynił porywające wykłady, kiedy to – zapatrzony w głębie – rósł ku wysokościom, płonął i wręcz śpiewał swą klasyczną, krystaliczną polszczyzną – rozległą pieśń wiedzy. Ale i wiary człowieczej, gorącego serca, zawsze nadziei i godności. Honoru. Polski.

Był dla mnie zagadką. I pora szczerze powiedzieć: niewiele pamiętam z tej wiedzy, którą nam przekazywał. Choć pilnie słuchałem Jego wykładów, nie ich treść, lecz On sam to było to ważne – kontakt z Osobowością. Na Nim koncentrowałem uwagę i podziwiałem Go, analizowałem każdy gest, intonację, wyraz twarzy; wykłady mijały jak piękny sen – równie łatwo zapominany... Ale zostało we mnie Przesłanie: wkorzeniło się mocno i dogłębnie w podświadomość i tam, uśpione, czekało. To dlatego później usłyszałem w sobie rezonans, gdy po raz pierwszy naprawdę dostrzegłem Poezję. A gdy już raz po stopniach wewnętrznej ciszy zadźwięczały Jej alikwoty, nie zamilkły dotąd. Literatura i promienne budowle Słowa pokazywane przez Dziadka długo były dla mnie Pałacem na Szklanej Górze, były sanktuarium, do którego wchodząc myśli się, być może, o modlitwie, lecz nie o kapłaństwie. I wiem, że gdyby nie Dziadek, pewnie nie „zostałbym" poetą. Chciałem być marynarzem, fizykiem atomowym, astronomem, filozofem. I zostałem – jak się po części stało – też polonistą. A Dziadek był czymś więcej – był Kimś...

Był „Kimś" tak dalece, że nawet wyświechtane w praktyce szkolnej słowo „wychowawca" w odniesieniu do Niego, a był wychowawcą mojej klasy, miało wagę poważną. Lekcje wychowawcze z Dziadkiem zawsze były jakąś „sprawą".

Traktował nas poważnie, bardzo poważnie, choć rzadko umieliśmy temu sprostać, lecz On równie rzadko dawał się wyprowadzić z tej konsekwencji. I dla pamięci o Nim – muszę się przyznać, bo do dzisiaj mam nieczyste sumienie: przed maturą pozwoliłem sobie na „grę", szczeniacką z Dziadkiem. Od blisko pół roku miałem okazać Profesorowi zeszyt. Ale nie miałem zeszytu: ja-

kiś zawrót niedojrzałej makówki – postanowiłem nie prowadzić zeszytu. Ale brakło odwagi, by to powiedzieć wprost. Kluczyłem, wymyślałem powody, ciągle „zapominałem" zeszytu. A Dziadek żądał, wyznaczał terminy, wreszcie postawił ultimatum: nie będziesz miał szans zwolnienia z egzaminu ustnego. Podjąłem rękawicę – zeszytu nie zrekonstruowałem, nie przyniosłem. I jakże jestem dzisiaj pełen podziwu dla umiejętności, z jaką Profesor Mierzwiński wyprowadził mnie z mojego własnego szczeniactwa; dla Jego pedagogicznego talentu, który teraz dopiero umiem dostrzec i ocenić. Pisemna matura z „polaka". Otrzymuję 5 (?). Oczekujemy na decyzję o zwolnieniach z ustnego. Ja – pełen, skądinąd obawy, ale właściwie nie czekam, bo Dziadek powiedział mi wyraźnie. Obawiam się podjętej „gry" – czy jej sprostam? A cóż ja właściwie wiem „przy" Dziadku? I oto decyzja: ja także jestem wśród zwolnionych. I wstyd. Niesmak do siebie. Dziadek okazał mi całą moją niepowagę dlatego, że – mimo wszystko – potraktował mnie poważnie i – nie idzie o chełpliwość – sprawiedliwie. Tym dał mi wielce „konstruktywną" nauczkę. Tym nauczył mnie, że można i należy być sprawiedliwym mimo subiektywnie i nawet obiektywnie uzasadnionych do kogoś pretensji. I za to będę Mu zawsze wdzięczny.

Nie było w tamtych czasach tzw. wychowania seksualnego (zresztą właściwiej byłoby używać – z konsekwencjami merytorycznymi – pojęcia erotycznego niż tego spłaszczająco-przedmiotowego seksualnego), ale problem – odwieczny – był. Dziadek wypowiedział się tylko raz – anegdotą z własnego życia, ale pamiętam to do dzisiaj: Akurat zacząłem pracę w szkole – mówi. – Wyszliśmy z dyrektorem gimnazjum na krótki spacer. Spotykamy uczennicę, która nie dość rychło nas spostrzegła, ale ze zdumieniem widzę, jak dyrektor uchyla kapelusza i grzecznie kłania się uczennicy. Gdyśmy odeszli parę kroków, nie wstrzymałem się od pytania: panie dyrektorze, proszę wybaczyć, ale muszę pana zapytać – czy to wypąda, żeby pan, dyrektor, długoletni nauczyciel pierwszy kłaniał się uczennicy? A on mi na to: panie kolego Mierzwiński, jestem już starym człowiekiem i proszę mi wierzyć – kobietę trzeba szanować po to, żeby ona sama siebie szanowała...

Uczył nas Dziadek rownież łaciny... „zaklinał nas w capa" tak, że – chcąc nie chcąc – uczyliśmy się tej łaciny, bo – wtedy umieliśmy łacinę. Do dziś (choć niewiele już z tego zostało) chodzą po głowie wyjątki: a, e, c; l, n, t; ar, us.... Nasza spółka „łacińska" w jednej ławie z Jackiem Nabzdykiem (czy pamiętasz Jacku?). Oj, tęgie były z nas lenie. A Dziadek miał dość wygodny i aktywizujący całą klasę system. Kolejne zdania danej czytanki tłumaczyli bądź analizowali gramatycznie kolejni uczniowie. Notośmy doszli do wniosku, ża zamiast przysiadać fałdów w domu, możemy z Jackiem zastosować kontrsystem. Doszliśmy logicznie do formuły, że wystarczy mieć zawsze przygotowane jedno zdanie naprzód w stosunku do aktualnie przez kogoś „obrabianego", żeby być – praktycznie – zawsze przygotowanym. A do tego trzeba, by – zmieniając się rolami – jeden szukał słowek, a drugi błyskawicznie tłumaczył to następne zdanie i pisał je dyskretnie na kartce. A co do analizy gramatycznej – wystarczy umiejętna nasza konsultacja szeptem. I nasz sytem „zaskoczył" zadziwiająco skutecznie. A Dziadek był piekielnie spostrzegawczy, czasem wpadaliśmy już niemal w błogostan (bo ma się rozumieć, że gdy „fala" pytania nas minęła, następnym zdaniom nie poświęcaliśmy nawet szczątka uwag) gdy pewnego razu doznałem olśnienia: wysoce podejrzany wydał mi się specyficzny uśmiech Dziadka, gdy pytał Jacka i mnie. Następnym razem „obkuliśmy" wcześniej całą czytankę. I stało się, Dziadek, na progu wstrzymywanego głośnego śmiechu, zapytał nas nie o następne w kolejności, lecz o dalsze zdania. Triumfowaliśmy – rzecz jasna, a Dziadek pewnie dopiero w pokoju nauczycielskim wyśmiał się do woli. Ale nas nie spłoszył – co niezwykłe – nie usiłował więcej „złapać". Wiedział, że my wiemy, że on wie i milcząco zaakceptował tę „grę". Korzystaliśmy z niej do końca, choć z niepokojem, bo nie znaliśmy motywacji tej postawy Dziadka. A Dziadek po prostu uznał, że przede wszystkim sama aktywna współpraca koleżeńska jest cenna, ponadto, że jak te dwa lenie przygotowują na każdej lekcji „na blachę" choćby po te dwa zdania, to i tak korzyść będzie niewątpliwa – wszak idzie o to by coś umieli, a nie o to, żeby ich „łapać".

Dziadek... Wytrawny stylista. To od Niego wiem, kiedy wolno stosować słowo „bowiem", a kiedy „albowiem" – a nie uczono mnie o tym nawet na studiach.

Dziadek, którego mieliśmy za żywy „Słownik wyrazów obcych". Dziadek wymawiający zawsze „Dzeus" i – na nasze prośby – skandujący nam greckie heksametry. Człowiek zwykle bardzo opanowany, zasadniczy, ogromnie „męski", ale też czuły jak sejsmograf i z „rakietowym" refleksem, nieomylnie i w porę umiejący powstrzymać nasze smarkackie galopady – nikomu i nigdy „nie przeszedł" w stosunku do Dziadka choćby tylko niewłaściwy „ćwierćton". Szanował nas ale też bezwględnie wymagał szacunku i potrafił go egzekwować.

Cóż powiedzieć jeszcze? Opowiadanie mogłoby się rozrastać. Moja nocna – gdy to piszę – pamięć sięga coraz głębiej i szerzej, i widzę coraz lepiej. To jest dobra chwila i dobra pamięć. Znowuż – dla mnie, nie dla Niego, albowiem (tu właśnie mówi się „albowiem") nie ma już Go wśród żywych. Dla Niego jest wdzięcznośc i mój żal, że nigdy nie mogłem Mu tego powiedzieć. Lecz On jest we mnie i jest w innych – więc mówię to sobie i innym.

Szły lata... Trzy, pięć, dziesięć, piętnaście. Wir spraw i rzeczy. Klęski (tych więcej) i zwycięstwa. Czasami daleki, przypadkowy koleżeński sygnał: co z Dziadkiem, jak Dziadek? Strzępki wieści: nie ma Go już w Prudniku, jest u rodziny w Gliwicach...

Dziadek, nasz kochany Dziadek, wykładał do końca – u siebie w domu, w pustych pokojach. Gasło ciało, lecz płonęły serce i rozum. Podobno do chwil ostatnich nie tylko że wykładał, ale czynił to coraz niezwyklej, coraz cudowniej, coraz znakomiciej – dochodził do Zenitu. I czemuż, Panie Profesorze, nie mogłem kiedy wpaść do Pana, gdy już odchodził Pan od świata, usiąść gdzie w rogu pokoju, posłuchać?...

Zostało wspomnienie ostatnie. Stoję w oknie pociągu, który niebawem odjedzie. Parę dni temu, po maturalnych świadectwach, pożegnałem „ogólniak". Na głowie mam – a jakże! – pierwszy w życiu kapelusz. Na stację wchodzi Dziadek. Przechadza się po przeciwległym peronie. Spostrzega mnie, uchylam kapelusza. Profesor odkłania się z ogromną powagą i uwagą dla mojej „dorosłości". Jestem wzruszony, zażenowany (oj

– to nieczyste sumienie!) i chyba... szczęśliwy. Zatrzymuje na mnie wzrok i rozumiemy się. Ale jeszcze coś dostrzegam na dnie Jego oczu. Pociąg ruszył. Profesor uniósł do mnie rękę. I takim widziałem Go raz ostatni w życiu. Lecz dopiero teraz wiem, że wtedy w Jego oczach to był uśmiech...

***

Wybaczcie, drodzy Czytelnicy, jeśli coś zmitologizowałem – pamięć skłonna tworzyć mity, ale jakże często mity tworzą Człowieka. Mity – zbiorowe i indywidualne pragnienia, których treści – intencją – pragnie się tak bardzo, że chce się im przydać kształtów rzeczywistych. I to jest dobrze. Myślę, że każdy miał w życiu takiego swojego „Dziadka" czy „Babcię". A tylko Pamięć tworzy i stanowi Człowieka; bez niej bylibyśmy jedynie mechanizmami. Chcę wreszcie powiedzieć jedno: żeby być Nauczycielem, trzeba wielkiej odwagi. Kochajmy odwagę.

Absolwenci Liceum Ogólnokształcącego w Prudniku ze swym wychowawcą (X) prof. Marianem Mierzwińskim na Zjeździe w 1961 r. z okazji X-lecia matury.

Siewca

Harry Duda

Pamięci „Dziadka" –
Prof. Mariana Mierzwińskiego

Gdy mówiłeś – Twój głos niósł
i uskrzydlał nawet drewniane pulpity;
na podeście Mickiewicz i Towiański
wiedli spór wzniosły i owocujący;
bywało – obok Niemen płynął
albo Kraszewski układał w baśń starą
cisowe rdzenie słów,
a Wergili uszlachcał nas po rzymsku;
Twój heksametr „Iliady" – choć niezrozumiały –
magnetycznie przenosił nas pod Troję
i był to czas wysokich lotów
przez wiosny, jesienie i zimy.
Gdy milczałeś – duch. nie rozum,
przystępował do pracy,
byś się odezwał – przyganą lub nagrodą.
Mozół szlifował i ostrzył,
aż się krzepło w rozumie i sercu.
Gdy przyszedł czas odlotu,
Twój głos – już nierozdzielny z moim –
niby kompas wiódł i lot wspomagał.
Tak dalece BYŁEŚ – Ty, siewca
nie korzystający z plonu.

Fot. Jan Kędzierski 1993 r.

Dr T. Kukiz nad grobem prof. Mariana Mierzwińskiego w Gliwicach. Napis nagrobny: „Profesor Marian Mierzwiński – 25.3.1888 + 30.9.1972 Niech spoczywa w pokoju"

Wspomnienie o dr. Karolu Krausie

Krystyna Ossowska-Korta

Lekarz – patriota – społecznik – taki podtytuł dał w swoim wspomnieniowym artykule o doktorze Karolu Krausie Stefan Teodorowicz.[1] w Diariuszu Lekarskim

Karol Kraus urodził się 12 września 1906 r. w Tłumaczu. Ojciec jego Franciszek miał kuźnię i dom przy końcu ul. Jagiellońskiej. Karol zarówno szkołę powszechną jak i gimnazjum klasyczne ukończył w Tłumaczu. Będąc uczniem gimnazjum dał się poznać jako zapalony skaut działając od 1919 r. w drużynie harcerskiej im. Ks. J. Poniatowskiego. Brał udział w organizowanych wycieczkach i obozach braci harcerskiej, a przez pewien czas prowadził chór harcerski, który występował ze swoim programem na różnego rodzaju imprezach. Delikatność i takt to były cechy Karola Krausa, które zjednywały mu sympatię w środowisku kolegów.

Maturę zdał w roku 1925 i w tym samym roku zapisał się na Wydział Lekarski Uniwersytetu Jana Kazimierza we Lwowie. Dyplom lekarza medycyny otrzymał w 1930 r. Po uzyskaniu dyplomu odbył szereg praktyk lekarskich. Karol Karaus miał wszystkie zalety dobrze zapowiadającego się chirurga – wspomina Stefan Teodorowicz – takie jak wytrzymałość fizyczną i psychiczną, umiejętność koncentracji, łatwość w nawiązywaniu kontaktów z zespołem.

Zmobilizowany w 1939 roku brał udział w kampanii wrześniowej jako chirurg wojskowego szpitala polowego. Okupację sowiecką i niemiecką przeżył we Lwowie. Po przyłączeniu w 1944 r. Kresów Wschodnich do Związku Radzieckiego Karol Kraus wyjechał wraz z rodziną w Kieleckie aby w 1947 roku przenieść się już na stałe do Wrocławia. We Wrocławiu uzyskał tytuł doktora medycyny i pełnił szereg odpowiedzialnych funkcji m. innymi był dyrektorem Miejskiego Szpitala im. Ludwika Rydygiera, wiceprezesem Stowarzyszenia Lekarzy Dolnośląskich. Po przejściu na emeryturę nadal utrzymywał kontakty z gronem przyjaciół z Wrocławia, jak również z kolegami i przyjaciółmi z Tłumacza. Bywał na spotkaniach i zjazdach koleżeńskich Tłumaczan.

Dzięki dużemu zaangażowaniu m.in. dr. Karola Krausa udało się uzyskać zezwolenie na wmurowanie pamiątkowej tablicy ku czci poległych i umęczonych w okresie I i II wojny światowej profesorów i uczniów Gimnazjum Tłumackiego. Tablicę wmurowano i poświęcono w Kościele Św. Doroty we Wrocławiu w 1979 roku.

Doktor Karol Kraus zmarł we Wrocławiu w 1989 r. w wieku 84 lat.

1) Stefan Teodorowicz – lekarz, Prezes Honorowy Stowarzyszenia Lekarzy Dolnośląskich ❑

Historia

Tyśmienica miasto na rubieżach Rzeczypospolitej

Tadeusz Pelikan

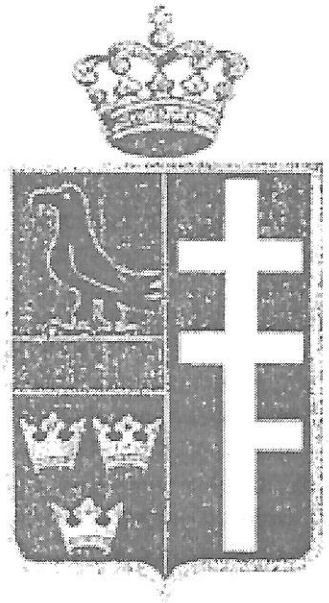

Herb Tyśmienicy

Zaskoczyła mnie informacja o niepewnych losach „Zeszytów Tłumackich", ba! o rezygnacji z dalszego ich wydawania. Kiedyś taki dzień na pewno przyjdzie, ale w chwili obecnej byłaby to decyzja przedwczesna. Myślę, że apele redakcji o nadsyłanie materiałów przyczynią się do rozpędzenia tych „czarnych chmur".

Ja ze swej strony przesyłam mój tekst „Tyśmienica miasto na rubieżach Rzeczypospolitej", który jak sądzę mógłby być drukowany w „ZT".

„Nasza kraina znajdująca się pod wpływem kilku wykluczających się kultur, zawsze w porę potrafiła zwrócić się do tych tajemnych sił, nastrojów i przeczuć, które umiały łączyć przeciwieństwa, odnosząc w ten sposób ciche zwycięstwa nad chaosem i dowolnością (...); uczepiona Karpat, mówiąca trzema różnymi językami mozaika narodów, religii i kultur żyjących w przededniu zagłady przepowiadanej przez Cyganki i żydowskich cadyków nad Seretem."

Wł. Paźniewski „Krótkie dni"

Grody Czerwieńskie, księstwo halicko-włodzimierskie Daniela i Lwa, Ruś Czerwona Kazimierza Wiekiego, wreszcie teren trzech województw Małopolski Wschodniej: lwowskiego,

stanisławowskiego i tarnopolskiego, oto określenia jakie w ciągu wieków nadawano obszarowi południowo-wschodnich rubieży Rzeczypospolitej.

Trudno w sposób jednoznaczny określić jakie ludy słowiańskie osiadły tu pierwsze. Pewne jest jednak, iż ziemie między Wisłokiem, Bugiem i Zbruczem stanowiły już wówczas teren zmagań dwóch powstających organizmów słowiańskich: Polski na zachodzie i Rusi na wschodzie (M. Tyrowicz, Lwów i ziemia czerwieńska, Lwów, 1938).

Jak podaje Nestor, w roku 981 książe ruski Włodzimierz I zabiera grody czerwieńskie. Ale już Bolesław Chrobry po wyprawie na Kijów w 1018 r. ponownie wciela je do Polski. Nie na długo jednak, bo w 1031 r. ziemie te zostały zajęte przez Jarosława Mądrego. W końcu XI w. książęta ruscy zakładają księstwo halicko-włodzimierskie, które zjednoczone w 1119 r. z księstwem wołyńskim tworzy Ruś Halicko-Włodzimierską. W roku 1241 hordy mongolsko-tatarskie przewaliły się przez ten kraj zdążając ku Polsce. Książęta ruscy dostali się pod zwierzchnictwo Chana. W końcu 1340 r. Kazimierz Wielki uderza na Ruś i zajmuje Lwów. We wrześniu 1349 r. zajmuje całą Ruś Halicką i zachodnią część Podola.

W pewnym okresie dla obszaru południowo-wschodniego Rzeczypospolitej ustaliła się nazwa „Ruś Czerwona". Obszar ten leżąc na ważnym szlaku handlowym był widownią stałych wędrówek, najazdów i wojen. Już od XIV w. Ruś Czerwona stała się terenem ekspansji rodów rycerskich. Osadniczą pracę ożywia tu ruch handlowy idący od Lwowa przez Halicz, Tyśmienicę, Kołomyję, Śniatyn do Mołdawii. Tam i z powrotem przesuwają się karawany wozów kupieckich.

W latach pięćdziesiątych XVI w. miasta należały tu jeszcze do rzadkości. Po upadku władzy książąt ruskich pozostało ich zaledwie siedemnaście. (Horn. M., Skutki ekonom. najazdów tatarskich..., Wrocław, 1964). W tym też czasie naddniestrzańska część ziemi halickiej zaludnia się i zagospodarowuje, a w końcu XIV w. przybiera nazwę „Pokucie". Obejmowało ono obszar ziemi między Dniestrem a Prutem, stanowiąc tym samym ostatni kąt Rzeczypospolitej, głęboko wysunięty w południową stronę. Najdawniejsze osady powstawały tu w pobliżu Dniestru, zaczynając od Halicza z biegiem tej rzeki. W tym też zakątku w połowie XV w. poczęło wzrastać miasto Tyśmienica, aby po latach zyskać rangę jednego z bardziej znaczących miast Pokucia.

Tyśmienica położona była w falistej nizinie, przepasanej wstęgami rzek w obramowaniu wzgórz i lasów. Za nimi dalej od południa wzgórza Pszenicznik i Pohonii, od wschodu Bohorodecka Góra, od północy wzgórza Mogiłki, skąd było widać rozległą panoramę miasta jak na dłoni; a tuż pod horyzontem ciemne kontury lasów Laszkowica, Podłysa, a od zachodu Gaj i Mokrzec, które łukiem zamykały panoramę miasta. Środkiem miasta przepływała rzeka Worona, dopływ Bystrzycy. W obrębie miasta przyjmowała ona od lewego boku Strymbę.

Tyśmienica należała do najstarszych miast Pokucia, a jej historia sięga bardzo dawnych czasów. Wspomina o niej najstarszy kronikarz ruski Nestor, podając, że w roku 1144 książę Włodzimirko przebywał w Tyśmienicy na łowach. Wtedy to Haliczanie przywołali Iwana Rościsławowicza z Dźwinogrodu (2 mile na zachód od Lwowa) na tron halicki. Powiadomiony o tym książę Włodzimirko powraca z Tyśmienicy i stacza zwycięski bój z Rościsławowiczem.

Pierwotnie Tyśmienica leżała przy drodze wiodącej do Kołomyi (Orgelbrand S. Encyklopedia, Warszawa 1878) po lewej stronie, gdzie dziś jeszcze znajduje się wzgórze zwane Horodyszcze. Właśnie na takich odosobnionych wzgórzach pozostały najliczniejsze ślady „horodyszcz", miejsc dawno opustoszałych grodów. Nazwa miasta pochodzi od rzeki Tyśmienicy, która w dawnych czasach snuła się po tamtych polach.

Po zajęciu Rusi przez Kazimierza Wielkiego Tyśmienica należała do dóbr królewskich, w przywileju wydanym w 1448 r. Kazimierz Jagiellończyk oznajmia, iż „dla tem rychlejszego wzrostu i w celu polepszenia bytu miasta naszego (oppidum nostrum) Thysmyenycze, przenosimy je z prawa polskiego i ruskiego na niemieckie" (Baliński M., Starożytna Polska, Warszawa 1885 r.). Powołał też na wójta Niemca Albrechta polecając mu wprowadzenie w Tyśmienicy nowego prawa i na jego podstawie zaludniać miasto. W celu przyciągnięcia ludzi do miasta wójt Albrecht ogłasza, że każdy przybysz, który osiądzie w Tyśmienicy zwolniony będzie od wszystkich powinności na lat trzydzieści, a na budowę domu otrzyma materiały budowlane z lasów królewskich, prócz tego ziemię. Podobnie rzemieślnicy zwolnieni będą od wszelkich powinności. Wezwanie Albrechta nie pozostało bez echa i do Tyśmienicy zaczęli ściągać ludzie z różnych stron, którzy zaczęli odbudowywać i zagospodarowywać miasto. Mieszczanom odpowiadało nowe prawo, bo chociaż płacili większe podatki mogli swobodnie uprawiać swoje rzemiosło i uzyskiwać większe dochody.

Nie wiadomo kiedy miasto dostało się w ręce prywatne, ale już w 1511 r. jako dziedzictwo Szamotulskich zostaje sprzedane przez wojewodę poznańskiego Andrzeja Szamotuskiego wraz z 13 wsiami braciom Paniowskim (Spieralski Z., Kampania obertyńska 1531 r., Warszawa 1962 r.).

Wkrótce miasto doświadcza wielkiej klęski, w związku z czym przywilej Zygmunta I z 1513 r. głosi: „Gdy Thissmyenica przez Turków, Tatarów i Wołochów spalona została i przywileje zagładzie uległy, przeto przychylając się do prośby dziedziców Auktusa Grzegorza i Jakuba braci z Paniowa, starostów stryjskiego i żydaczowskiego, ponawiamy im prawo pobierania cła i targowego..." (Baliński M.). Miasto ponownie otrzymuje przywilej urządzania jarmarków odebrany mu w 1461 r. przez Kazimierza Jagiellończyka jako szkodliwe dla cła miasta Lwowa (Ehrlich L., Starostwa w halickiem, Lwów, 1914 r.).

Po tym zniszczeniu ludność jaka pozostała opuściła to miejsce i przeniosła się nad brzegi Worony, gdzie powstało nowe miasto (Orgelbrand S.). W 1531 r. pada ono ofiarą napadu hospodara mołdawskiego Petryły, który „wtargnął z ludem swym na Pokucie, wybrał poddanych królewskich, wypalił miasteczka: Kołomyję, Tyśmienicę, Śniatyn, i wiele innych aż do Halicza...". Po tej klęsce Zygmunt I uwolnił miasto od podatków publicznych na lat 4.

Nastał okres pewnego uspokojenia. W mieście osiedliło się wielu kupców ormiańskich i dzięki ich przedsiębiorczości rozwinął się handel, powstały też składy towarów (Słownik Geograficzny Królestwa Polskiego, Warszawa 1892 r.).

Ale po roku 1572 najazdy tatarskie znów odżywają. Miały one już od początku XVI w, utorowane trzy szlaki: jeden z nich biegł od Śniatyna przez Kołomyję, Tyśmienicę do Jezupola. Sami najeźdźcy nazywali go złotym szlakiem, gdyż nim uprowadzali najbogatsze łupy (Czołowski A., Złoty szlak, Stanisławów, 1938 r.).

W lipcu 1594 r. przyszła od Sniatyna wielka nawała tatarska. 3 lipca spaliła Tłumacz, a 4-go „do gruntu spaliła okolice Tyśmienicy tak, że lat jeszcze wiele potem pokazy-

wano mogiły pomordowanych wówczas ofiar... Całe Pokucie od Karpat po brzegi Dniestru jedną oblało się łuną, dziesiątki wiosek było w popiele, a że nie do domu wracali, więc ludzi wbrew zwyczajowi więcej ścinali, jak zabierali: (Czołowski A., Z przeszłości Jezupola, Lwów, 1890 r.).

W roku 1598 Tyśmienicę otrzymał Jakub Potocki wraz z przyległymi wioskami: Kłubowce, Podłuże, Olszanica, Dobrowlany, Studzieniec, Uzień. 10 lat wcześniej za waleczność pod Byczyną otrzymał Jezupol z przyległymi wioskami (Czołowski A.). Tak więc „pan na Jezupolu i Tyśmienicy" stał się właścicielem dwu miasteczek i siedemnastu wiosek, które po ostatnim zniszczeniu trzeba było na nowo odbudowywać. Potocki zmarł w 1613 r. Pozostała po nim wdowa Jadwiga z Tarnowskich jakiś czas mieszkała w Jezupolu, później przeniosła się do Tyśmienicy.

Wkrótce nowa klęska nawiedziła miasto. W 1617 r. Tatarzy dokonują najazdu na ziemię halicką. Dotarli wówczas do Halicza, Żydaczowa i Tyśmienicy, rujnując rownież sąsiednie wioski. Jak wynika z przywileju z 1618 r. „Zygmunt III król Polski mając świeży dowód zniszczenia miasta przez Tatarów, za wstawieniem się Jadwigi wdowy po Jakubie Potockim i dziedziczki tej majętności uwalnia miasto Tyśmienicę i wsie Mykietyńce, Uhorniki, Podłuże, Podpieczary, Studzieniec, Klubowce i Markowce od podatków na lat 4" (Baliński M.).

Niedługo jednak miasto zaznało spokoju. W roku 1620 Tatarzy dokonują nowych spustoszeń „pozostawiając po sobie tylko zgliszcza, wsie pozostały zrównane z ziemią, znaczną część ludzi pobrali w jassyr." (Czołowski A.). W bitwie brał udział Mikołaj Potocki i jego brat przyrodni Jan. Mikołaj ranny dostał się do niewoli. Jan szczęśliwie powrócił do domu. Upojeni zwycięstwem Tatarzy pędzili za niedobitkami. Jan zaskoczony został przez Tatarów w Tyśmienicy i wzięty w jasyr. Natomiast Mikołaj za pośrednictwem księcia Zborowskiego, który złożył okup powrócił do domu. W 1626 r. Tatarzy ponownie wpadają na Pokucie. Wycofując się pod naporem wojsk hetmana Koniecpolskiego przeszli spod Halicza obok Jezupola i Tyśmienicy na Śniatyn.

W ciągu 29 lat (1605-1633) najczęściej pustoszone były przez Tatarów powiaty ziemi halickiej: kołomyjski, halicki, trembowelski. Przeżyły one co najmniej 26 napadów (Horn M., Skutki ekonomiczne najazdów tatarskich, Wrocław 1964 r.).

Za króla Władysława IV najazdy tatarskie na dłuższy czas ucichły. W tym czasie Pokucie ma możność zbudowania szeregu zamków obronnych, zameczków i dworów. W Tyśmienicy wznieśli zamek Potoccy. Był on murowany, otoczony wałem i wodą. Wzniósł też Mikołaj Potocki dominikanom kościół i klasztor (1631), a prawie na samym brzegu Worony zbudowali bazylianie monaster z cerkwią. W rynku powstała druga cerkiew (Barącz S., Pamiątki dziejów polskich, Lwów, 1855 r.).

Mikołaj Potocki umiera w 1651 r., a jego majątkiem zarządzał odtąd jego syn Jakub. W 1671 r. Jakub Potocki zmarł bezpotomnie. Cały jego majątek przeszedł na braci Mikołaja i Dominika. Klucz tyśmienicki obejmował Tyśmienicę z piętnastoma przyległymi wioskami. Tyśmienica obejmowała stare i nowe miasto z zamkiem. Mikołaj zrzekł się swojej części na rzecz brata a zatrzymał dla siebie 7 wiosek bliżej Jezupola i odtąd tytułował się „panem na Tyśmienicy i Bohorodczanach" (Czołowski A.).

(c.d.n.)

Tłumacz w dwudziestoleciu międzywojennym

Tłumacka serenada

Anna Jasińska (Nusia Tomyn)

„O Maryjanno gdybyś była zakochana nie spałabyś w tę noc, wtę jedną noc..."

Na spotkaniu w szerszym gronie rodzinnym opowiadałam wnukowi mojej kuzynki jak to jego babcia będąc młodą dziewczyną słuchała serenady granej dla niej w księżycową piękną noc.

Kuzynka moja Anna Dyś pochodziła z Tyśmienicy, ale do gimnazjum uczęszczała w Tłumaczu. Na czas nauki zamieszkała u nas przy ul. Stowackiego nr 4. Nie pamiętam roku jej edukacji, ale było to na krótko przed wojną. Myślę, że może koleżanki z którymi chodziła do jednej klasy uściślą tę datę.

Nusia, tak ją nazywaliśmy, była ładną dziewczyną o słowiańskiej urodzie, toteż miała powodzenie u kolegów. Jej sympatią był Edwin Misiecki, syn profesora muzyki.

W owym okresie modne było urządzanie koncertów tzw. serenad pod oknami wybranki swego serca. Ten miły zwyczaj miał wyrażać uczucia, sympatię, a może i miłość dla osoby do której był adresowany.

Na pewno każda z dziewcząt chciałaby usłyszeć serenadę dedykowaną dla niej.

W tym czasie była modna piosenka „Maryjanna". Słowa piosenki były ładne, a melodia bardzo łatwa, szybko wpadała w ucho, prędko więc było można ją zapamiętać i zanucić. Prawie każdy ją znał i śpiewał. Pomimo upływu czasu „Maryjanna" nadal jest znana i śpiewana – można powiedzieć, że przeżywa swój renesans.

Była piękna księżycowa, wiosenna noc. Wszyscy już spaliśmy strudzeni dniem, wokół panowała cisza, a tu cichutko pianissimo słychać za oknem melodię piosenki „O Maryjanno". Melodia nabierała coraz głośniejszych akordów, a słowa trafiały prosto w serce.

Moja Mama obudziła kuzynkę, a ta podeszła do okna słuchając granej i śpiewanej dla niej piosenki, a później podziękowała serdecznie za tę ucztę duchową.

Chociaż byłam wówczas małą dziewczynką, to piękne wydarzenie pozostało mi na zawsze w pamięci. Mocno przeżyłam to tak pięknie wyrażone uczucie, a wszystko oprawione w ciepłą księżycową noc.

Miłe wspomnienia związane z piosenką „Maryjanna" kojarzą mi się również z jubileuszem 50-lecia ślubu Marysi Laner-Adamczak i jej męża Mariana. Uroczystość złotych godów obchodzili Oni na zjeździe Tłumaczan w Kołobrzegu. Podczas przyjęcia razem z koleżankami-krajankami śpiewałyśmy tę piosenkę. Nie wiem jak wypadł nasz występ, ale poczęstunek był wspaniały, dużo też było śmiechu i uciechy. ❑

Ad vocem

Danuta Tabińska-Juhasz

Wspomnienia Nusi o serenadach obudziły moje wspomnienia, wprawdzie z nieco późniejszego okresu, bo już pod koniec wojny, ale to samo miejsce – Słowackiego 4. Ulicę tę zaczynały dwa parterowe domy stojące jakby w cieniu dużego, narożnego gmachu, Sokoła. W

Tłumacz, ul. Słowackiego 4

pierwszym domu mieszkała z rodzicami i starszym bratem Dudem nasza koleżanka Nusia Tomynówna. W następnym zaś domu mieszkała koleżanka Dziusia Olejnicka z rodzicami i starszą siostrą Wiesią. Często przychodziłyśmy się „bawić", bo takie wtedy było określenie na nasze wizyty u koleżanek. Pamiętam, że domy te, raczej od ulicy niepokaźne, miały od tyłu bardzo przyjemne drewniane ganeczki z ławeczkami, obrośnięte winną roślinnością. Były to ulubione miejsca naszych spotkań i zabaw. Obie matki naszych koleżanek zapamiętałam jako bardzo życzliwe, lubiące młodzież panie. Były one dobrymi gospodyniami, w tych głodnych czasach zawsze miały czymś poczęstować. Ich uśmiech, pogoda ducha stwarzały atmosferę spokoju i bezpieczeństwa. Największym jednak magnesem przyciągającym tu mnie z siostrą Lalą był patefon Wiesi z dużą ilością płyt. Po raz pierwszy w życiu słuchałyśmy tu rytmów rzewnych tang i miłosnych słów modnych szlagierów. Do dzisiaj pamiętam wiele tych przedwojennych przebojów, pamiętam wrażenia jakie wówczas na nas robiły i to drżenie czternastoletnich serc. Pod wpływem tej muzyki snułyśmy marzenia o innym, lepszym, spokojnym i bezpiecznym świecie, pełnym miłosnych uniesień, szczęścia i pięknych melodii. Był to wielki kontrast z otaczającą nas rzeczywistością. Od początku wojny naszemu rozwojowi towarzyszyły same nieszczęścia i strach. Naprzód przed aresztowaniami i wywózką na Sybir, następnie byliśmy bezradnymi świadkami likwidacji całego społeczeństwa żydowskiego Tłumacza. Ponadto polscy mieszkańcy miasta przeżywali stały potworny strach przed napadami banderowców.

Dorastanie w tych okrutnych czasach widocznie wymagało przyjaźni i to szczerych i głębokich. Obie z siostrą przychodziłyśmy zazwyczaj po koleżanki, żeby je wyciągnąć na spacer po tłumackim corsie. Była to trasa od kościoła przez ulicę Słowackiego, która w zależności od pory roku tonęła w kwiatach rosnących w przydomowych ogródkach. „Panienki" chodziły trzymając się pod rękę (taka była moda).

Z tego właśnie okresu utkwił mi w pamięci drugi dzień Świąt Wielkanocnych. Po południu, starannie ubrane z siostrą, przyszłyśmy zabrać na spacer nasze koleżanki Dziusię i Nusię. Był piękny, ciepły wiosenny dzień. Dziusia właśnie na ganeczku prezentowała nam nową sukienkę uszytą przez jej mamę, gdy nagle od tyłu werandy wybiegł Dudo z wiadrem wody. Nim zdążyłyśmy krzyknąć z Dziusi i jej nowej sukienki spływały strumienie wody. Naprzód płakałyśmy razem z nią, ale już potem na spacerze śmiałyśmy się wszystkie i komentowały nowe zaloty Duda do Dziusi.

Wkrótce po zakończeniu wojny zaczęto mówić o koniecznosci wyjazdu Polaków, o opuszczeniu swoich domostw, o opuszczeniu na zawsze Tłumacza.

Pamiętam w parku w księżycowy wieczór grupę przyjaciółek (było nas chyba osiem) – przysięgałyśmy sobie przed rozstaniem unosząc dwa palce do nieba, dozgonną wierność i przyjaźń. Tak jak wtedy przypuszczałyśmy, okrutny los rozgonił nas po świecie. Bezlitosny czas robił swoje, postarzał nas, a niektóre zabrał na zawsze.

Jednak ta magiczna przysięga dana sobie w poświecie księżyca w tłumackim parku ma swoją moc. Jesteśmy jej wierne, bo nawet po wielu latach spotykając się czujemy rodzinne więzy tej dozgonnej tłumackiej przyjaźni. ❑

Elektrownia i młyny w Tłumaczu

Romuald Tuzinkiewicz

Ogólny widok elektrowni i młyna z roku 1930 od strony kościoła

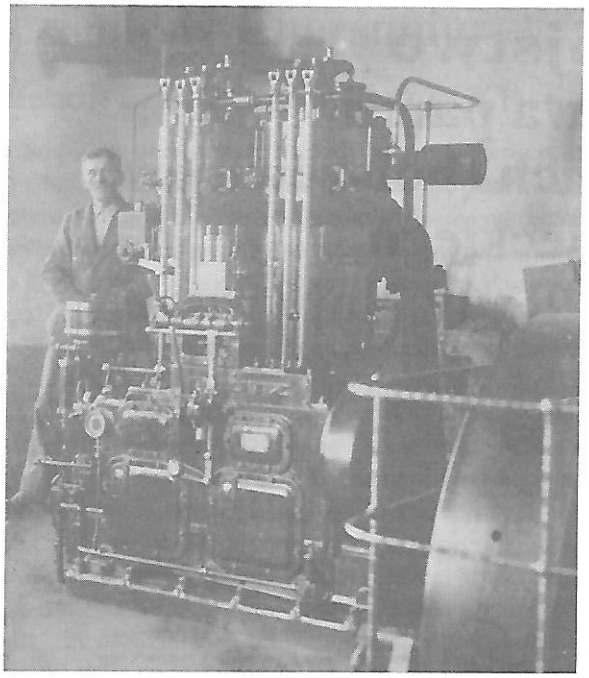

Główny maszynista Storaż i motor Diesla elektrowni

W 1903 roku mój ojciec Franciszek Tuzinkiewicz założył w Tłumaczu pierwszą elektrownię. Oświetlała ona domy mieszkalne, urzędy, świątynie i ulice Tłumacza. Elektrownia była napędzana motorami Diesla. Głównym maszynistą był pan Storaż, a pomocnikiem p. Lewicki. Pracowały również dwa młyny, gospodarczy obsługujący gospodarzy z całego powiatu i handlowy dla celów handlowych. Elektrownia i młyny pracowały bez przerwy aż do roku 1944, kiedy to spłonęły w czasie działań wojennych.

Wiadomo jest nam ze źródeł miarodajnych, że zarówno kościół, cerkiew i synagoga otrzymywały od p. Tuzinkiewiczów prąd do oświetlenia bezpłatnie.

Redakcja

Tłumacz w latach wojennych 1939-1945

Moja Wielkanoc w 1944 (c.d. ZT nr 2 (6) 97)

Jan Johnson

Póki pamięć służy, chciałbym mniej więcej w zwięzłym opisie przekazać ciąg dalszy „przygód" z „Mojej Wielkanocy w 1944 roku". A więc po przybyciu do Woronowa, do państwa Boguckich, gdzie przyjęto mnie bardzo ciepło i ulokowano na piecu. Okazało się, że linia frontu biegnie zaledwie 3 km w kierunku Tłumacza przez Niezwiska. W dzień strzelano nawzajem do siebie, natomiast noce były raczej spokojne aż do czasu gdy... Ale po kolei. Dom p. Boguckich przez połowę dzieliła duża sień, skąd było wejście na strych. Znalazłem tam sporo łodyg tytoniowych z resztkami liści i po skrojeniu otrzymałem tzw. „koriszki" którymi „handlowałem" z żołnierzami ruskimi. Po drugiej stronie sieni mieszkała daleka kuzynka cioci, ładna panna, do której „uderzał w koperczaki" lejtenant oraz starszyna. Ona wolała starszynę co tragicznie odbiło się na nas wszystkich. Gdzieś po tygodniu doszło między lejtenantem a starszyną do dość mocnej wymiany zdań. Panna wzięła stronę starszyny przez co oficer wyszedł zdenerwowany z domu. Ja zaś obudzony głośną „rozmową" postanowiłem wyjść na dwór. Spotkaliśmy się przy wyjściu, patrzę więc jak on wyciąga zapałki i podpala strzechę. Ogień błyskawicznie pnie się w górę ku szczytowi domu. Powstało zamieszanie i krzyki. Zdążyłem pobudzić krewnych, którzy spali w pierwszej izbie, z drugiego pokoju żołnierze już uciekali przez okno. Ledwo uszliśmy z płonącego domu, gdy tam pozostawione naboje zaczęły wybuchać powiększając panikę. W odpowiedzi od strony niemieckiej nadleciały pociski armatnie (zrobiło się jasno jak w dzień) i zaczęło się „wesele". Ranek zastał nas wystraszonych w końcu ogrodu. Dziadek Bogucki zaprzągł konia do wozu na którym z resztkami uratowanego dobytku usiadła ciocia z babcią i dwójką dzieci. Późnym rankiem ruszyliśmy w drogę przez Horodenkę do Rumunii (Bukowina). Pod wieczór na wysokości Zaleszczyk skręciliśmy w prawo i późnym wieczorem zatrzymaliśmy się pośród umocnień ziemnych porosłych trawą pochodzących jeszcze z wojen napoleońskich. Księżyc świecił bardzo jasno, a niebo usiane było milionami gwiazd i było tak piękne. Rankiem ruszyliśmy dalej i przez Zastawnę – podolskie miasteczko, które kiedyś zamieszkiwało bardzo dużo Polaków (co stwierdziłem później zwiedzając cmentarz miejski) – dotarliśmy do miejscowości Toutry. Zatrzymaliśmy się u miejscowej gospodyni Ukrainki, która przyjęła nas na stancję i ugościła. Mieszkała tylko z córką, bo mężczyzn wzięto na wojnę. A wojna trwała dalej. Dnie mijały mi na pasaniu krów, doglądaniu koni i drobnych pracach przy gospodarstwie. Aż wreszcie nadeszła wiadomość, że front został przełamany i wojska radzieckie ruszyły na Stanisławów. Na drugi dzień gonieni gorączką tęsknoty zaprzęgliśmy wóz i po serdecznym pożegnaniu z gospodynią ruszyliśmy w drogę powrotną. Dojechaliśmy do miejscowości Serafiniec, 3 km od Horodenki, tam znów Boguccy zatrzymali się u gospodarzy, bo dalszą podróż wzbraniały wojskowe patrole. Ja jednak postanowiłem przedzierać się dalej polami, nie zdając sobie sprawy z niebezpieczenstw grożących na zaminowanych polach. Ale młodośc wierzy, że nic złego nie może ją spotkać. Szedłem z pewnym Ukraińcem omijając polami Niezwiska. Szliśmy przeskakując rozciągnięte druty, pomiędzy sterczącymi kolcami zapalników, pośród trupów i rozbitego sprzętu wojskowego. Ciężka to była droga i strach coraz bardziej ściskał za serce. Ten powrót, wojna, trupy na zawsze utkwiły mi w pamięci. I chyba tylko opiece Najświętszej Panienki zawdzięczam szczęśliwy powrót do domu. ❑

Ludobójstwo kierownictwa partii komunistów sowieckich (bolszewików), rządu sowieckiego, i przewodniczącego Rady Najwyższej

— zamordowanie 21 857 obywateli polskich:

generałów, oficerów,
podoficerów, KOP-istów
policjantów,
strażników więziennych,
księży,
urzędników państwowych,
osadników,
właścicieli ziemskich,
kierownictwo organizacji
niepodległościowych.

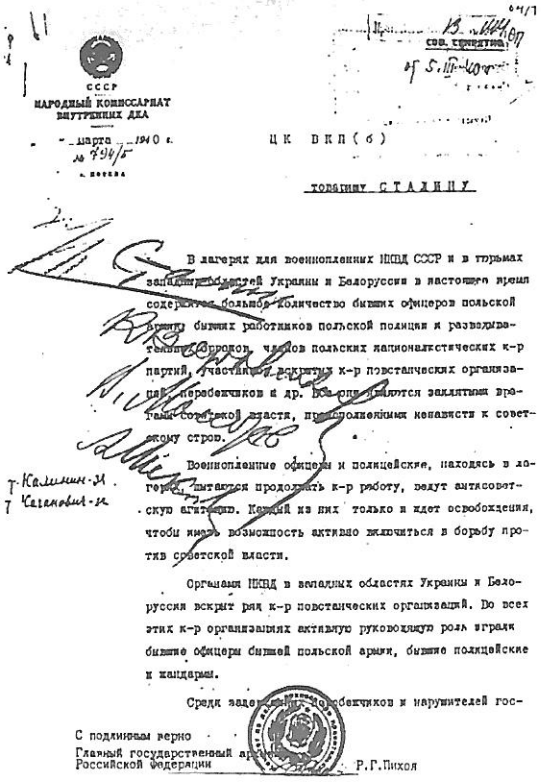

СССР
НАРОДНЫЙ КОМИССАРИАТ ВНУТРЕННИХ ДЕЛ

марта 1940 г.
№ 794/5
г. Москва

ЦК ВКП(б)

ТОВАРИЩУ СТАЛИНУ

В лагерях для военнопленных НКВД СССР и в тюрьмах западных областей Украины и Белоруссии в настоящее время содержится большое количество бывших офицеров польской армии, бывших работников польской полиции и разведывательных органов, членов польских националистических к-р партий, участников вскрытых к-р повстанческих организаций, перебежчиков и др. Все они являются заклятыми врагами советской власти, преисполненными ненависти к советскому строю.

Военнопленные офицеры и полицейские, находясь в лагерях, пытаются продолжать к-р работу, ведут антисоветскую агитацию. Каждый из них только и ждет освобождения, чтобы иметь возможность активно включиться в борьбу против советской власти.

Органами НКВД в западных областях Украины и Белоруссии вскрыт ряд к-р повстанческих организаций. Во всех этих к-р организациях активную руководящую роль играли бывшие офицеры бывшей польской армии, бывшие полицейские и жандармы.

Среди задержанных перебежчиков и нарушителей гос-

Тт. Калинин-М.
Ворошилов-К.

С подлинным верно
Главный государственный архив Российской Федерации Р.Г.Пихоя

W dniu 5.03.1940 roku został podpisany przez Stalina wyrok śmierci na 21857 Polaków. Minęło właśnie 59 lat od tej okrutnej zbrodni dokonanej w Katyniu, Ostaszkowie i Miednoje, gdzie zginęło wielu Tłumaczan.

Redakcja

Marsz Sybiraków

Marian Jonkajtys

Z miast kresowych, wschodnich osad i wsi,
Z rezydencji, białych dworków i chat
Myśmy wciąż do Niepodległej szli,
szli z uporem, ponad dwieście lat!

Wydłużyli drogę carscy kaci,
Przez Syberię wiódł najkrótszy szlak
I w kajdanach szli Konfederaci
Mogiłami znacząc polski trakt...

Z Insurekcji Kościuszkowskiej, z powstań dwóch,
Szkół, barykad Warszawy i Łodzi;
Konradowski unosił się duch
I nam w marszu do Polski przewodził.

A myśmy szli i szli – dziesiątkowani!
Przez tajgę, stepy – plątaniną dróg!
A myśmy szli i szli, i szli – niepokonani!
Aż „Cud nad Wisłą" darował nam Bóg!

Z miast kresowych, wschodnich osad i wsi,
Szkół, urzędów i kamienic, i chat:
Myśmy znów do Niepodległej szli,
Jak z zaboru, sprzed dwudziestu lat.

Bo od września, od siedemnastego,
Dłuższą drogą znów szedł każdy z nas:
Przez lód spod bieguna północnego,
Przez Łubiankę, przez Katyński Las!

Na nieludzkiej ziemi znowu polski trakt
Wyznaczyły bezimienne krzyże...
Nie zatrzymał nas czerwony kat,
Bo przed nami Polska – coraz bliżej!

I myśmy szli i szli – dziesiątkowani!
Choć zdradą pragnął nas podzielić wróg...
I przez Ludową przeszliśmy – niepokonani
Aż Wolną Polskę raczył wrócić Bóg!!!

Więzienie w Chersoniu

Pamiętnik J. A. Jakubowicza (c.d.)

Wyładowano nas w dzień. Każdy więzień po wyjściu z wagonu musiał klęknąć w brudnym śniegu, stratowanym przez tłum ludzi, obok swego tłumoku. Kiedy już wszystkich wyładowano, uformowano nas w czwórki, otoczono bardzo gęsto strażą z najeżonymi bagnetami i wyprowadzono przed dworzec, gdzie nas znowu zatrzymano i znowu kazano klęknąć w brudnym śniegu na jezdni. Na krawędzi dachu wisiały olbrzymie portrety przywódców radzieckich. W środku Stalin, a obok zbój Beria, rodak Stalina, Woroszyłow, Mołotow i Kaganowicz. Zdaje się, że zatrzymanie nas miało na celu zapoznanie nas z ukochanymi wodzami rewolucji. O Mołotowie wiedzieliśmy, że po klęsce wrześniowej wypowiedział w swojej słynnej mowie takie zdanie: „po dwóch mocnych uderzeniach Polska, ten bękart wersalski, przestał istnieć". Ta mopsowata morda, nienawidzona przez Polaków, długo dzierżyła tekę ministra spraw zagranicznych, aż w końcu spotkała Mołotowa zasłużona niesławna odstawka. W czasie naszego przemarszu z dworca do więzienia grupy Rosjan stawały na chodniku i przypatrywały się „polskim buntowszczykom". Nie widzieliśmy na ich twarzach jakiegoś gniewu albo szyderstwa, malowało się na nich współczucie i zażenowanie. Na skutek osłabienia, z powodu głodu niektórzy współwięźniowie, szczególnie starsi, zaczęli pozostawać w tyle, tych podpędzano psami. Komarnickiemu, który był szczególnie osłabiony, pies potargał spodnie i ugryzł w łydkę. W końcu doszliśmy do więziennego gmachu z czerwonej cegły: wprowadzono naszą grupę do dużej sali bez żadnych sprzętów. Usiedliśmy na podłodze na swoich tobołkach. Było to 24 grudnia 1939 r. w wigilię Bożego Narodzenia. W tym dniu nie dostaliśmy żadnego posiłku. Na salę weszła grupa sanitariuszek, która miała przeprowadzić kontrolę zawszawienia więźniów. Okazało się, że między 210 więźniami był tylko jeden, który miał te insekty. Zabrano go zaraz do łaźni i do tzw. odwszalni. Następnego dnia rano przyniesiono śniadanie, składające się z herbaty i szczypty cukru, ponadto wydano porcję chleba, który miał wystarczyć na cały dzień.

Po śniadaniu weszli na salę rzemieślnicy niosąc deski i drągi. Z drągów zrobiono rusztowanie wokół ścian, na którym ułożono deski do spania. Przez środek zrobiono drugie rusztowanie na którym mieliśmy spać w dwóch rzędach głowami do środka. O żadnych siennikach albo kocach mowy nie było. W tym samym dniu zabrano nam nasze tobołki i umieszczono w magazynie, każdy mógł sobie zostawić jedną zmianę bielizny i koce, które zabrał z domu. Miałem w swoim pakuneczku trzy zmiany bielizny, dwa prześcieradła i małą poduszkę, to wszystko powędrowało do magazynu. Wydano nam pokwitowania na szarym pakunkowym papierze. Rozmieściliśmy się na pryczach grupami według upodobań i wzajemnych sympatii. Policjanci mieli swoją grupę wśród której było dwóch inspektorów. Oficerowie i żołnierze mieli swoją grupę, a ziemianie zajęli miejsca na środkowej pryczy. W jednym z narożników sali zebrała się grupa złożona z niepewnych elementów, wśród której przewodzili Koprowski, Kuczbart i Fornal. W tym samym dniu nastąpiła generalna rewizja, podczas której trzeba się było rozebrać do naga, otworzyć usta, rozstawić palce i zrobić przysiad. Podczas tej gimnastyki inni strażnicy przetrząsali ubrania i oglądali buty. Po rewizji przyniesiono w drewnianej kadzi obiad. Kadź niosło dwóch ludzi na drążku przewleczonym przez dwa otwory w górnej krawędzi beczki. Przyniesiono także kosz z talerzami i łyżkami. Na wójta wybraliśmy kupca z Tłumacza Burczyńskiego. Do jego obowiązków należało rozdzielanie posiłków. Ustawiliśmy się w jeden szereg i podchodziliśmy do beczki z której Burczyński czerpał chochlą cienką zupę, w której oprócz liści z kapusty i kilku buraczków trafiały się krupy jęczmienne. To było wszystko co dostawaliśmy w południe, a na wieczór znowu płyn mający imitować zupę. Po wieczornym posiłku wszedł starszy dozorca i zawołał: „prowierka", co oznaczało obliczenie obecnych. Stawaliśmy bez butów w szeregu na pryczach, a dozorca idąc przejściem liczył głośno. Ponieważ było nas 210 jakoś mu się to liczenie pomyliło, więc przeliczał po raz drugi. Zaczęliśmy się układać do snu, okazało się, że nie można leżeć inaczej – tylko bokiem więzień przy więźniu, gdyż inaczej nie mieściliśmy się na pryczach, a jak jeden odwracał się na bok, musieli to robić wszyscy. W czasie dnia regulamin zakazywał leżenia, trzeba było siedzieć w swoim miejscu, z powodu ciasnoty nie można było przejść się po celi; było tylko wolne małe miejsce koło drzwi gdzie rozdawano posiłki ze wspomnianej już beczki.

Na tym placyku gromadzili się wieczorem plotkarze i stamtąd rozchodziły się fantastyczne wiadomości o interwencji rozmaitych mocarstw skierowanych przeciw Niemcom i Rosji. Były to oczywiście historyjki z palca wyssane. Na te zebrania chodził stale Polański i on przeważnie wymyślał te bzdury. W grupie ziemian byli: Komarnicki z Bukówny, Wiśniewski z Horyhlad, Schmid z Tłumacza, Capri z Kutysk, płk. Hoszowski z Chodorowa, Polański z Puźnik, Rylski z Czarnołoziec, Ziołecki z Hryniowiec, Mencel z Pawełcza, Bachman dzierżawca z Niżniowa i ja. Życie układało się monotonnie. Ciągłe rozstrząsanie kwestii, dlaczego nas aresztowano, bez sądu wywieziono i dlaczego zrobiło to państwo mające z nami pakt nieagresji i głoszące na cały świat o swojej sprawiedliwości. Jakże inaczej postąpiła Rumunia i Węgry, oba kraje graniczące z Polską przyjmowały naszych żołnierzy i uchodźców jak braci, udzielając im wszechstronnej pomocy i opieki. Wszystkie zresztą kraje nie będące sprzymierzone z Niemcami udzielały pomocy uchodźcom. Dla zabicia czasu powstały grupki, w których urządzano pogawędki i zorganizowane lekcje języków obcych. Włoskiego uczył Sałocha, francuskiego Polański, a pogadanki rolnicze wygłaszał Komarnicki. Świetnym gawędziarzem okazał się por. Ludwik, który opowiedział całą Trylogię Sienkiewicza prawie dosłownie, zachowując ten sam język. Jego opowiadań słuchała największa grupa słuchaczy. Temat wybrany przez por. Ludwika odpowiadał sytuacji w jakiej znaleźliśmy się sami. Między mną a Komarnickim doszło pewnego razu do sprzeczki, właśnie na tle jego wykładów o rolnictwie. Komornicki studiował rolnictwo za granicą, konkretnie w Niemczech i był raczej teoretykiem, w wykładach swoich podawał wysokie wyniki i wielkie dochody płynące z rolnictwa. Były to cyfry które pamiętał z wykładów, mocno wygórowane. Ponieważ wykładów jego słuchała duża grupa policjantów, zaczęli oni wyciągać fałszywe wnioski o dochodach ziemian. W czasie dyskusji zaprzeczyłem temu i podałem cyfry zgodne ze statystyką w Polsce. Ostatecznie pogniewaliśmy się i przestaliśmy ze sobą rozmawiać. W dwa dni po tym incydencie wywołano Komornickiego z celi. Czekaliśmy z ciekawością jaką sprawę do niego mieli, ale w tym dniu Komornicki nie wrócił. Następnego dnia czekaliśmy znowu na próżno. Zro-

biło mi się przykro, że się z nim pokłóciłem i postanowiłem jak tylko wróci, natychmiast go przeprosić. Wieczorem przed apelem wszedł Komornicki, ruszyłem od razu do niego, ale on mnie uprzedził i przepraszając pierwszy rękę podał mi.

Zebrała się koło nas grupa współwięźniów, aby się dowiedzieć co się z nim działo. Okazało się, że ktoś doniósł, że Komarnicki ma na palcu złotą obrączkę, którą ukrył w czasie rewizji. Kazano mu tę obrączkę zdjąć, a ponieważ to się nie dało, rozpiłowano ją i w ten sposób zdjęto. Zauważyliśmy, że Koprowskiego wzywano już trzy razy na jakieś przesłuchania, z których wracał zaopatrzony w papierosy. Po Komarnickim wezwano Ziołeckiego, a w czasie jego nieobecności strażnik przeszukał jego rzeczy pozostawione na sali. Ziołecki powrócił po kilku godzinach. Pytali się gdzie ukrył książeczkę do nabożeństwa z której się modlił. Ponieważ się nie przyznał i zaprzeczył, puścili go. Ziołecki przestraszony tym przesłuchaniem zniszczył książeczkę, którą w czasie przesłuchania miał Rylski. Zorientowaliśmy się, że mamy na sali donosiciela, a wszystko wskazywało na to, że jest nim Koprowski. Zaczęto czym raz głośniej o tym mówić, a w czasie rozdawania obiadu, zawołał Fornal na całą salę: „ty Koprowski, tyś powinien się powiesić, bo nawet Judasz miał tyle honoru, że po zdradzie Chrystusa to uczynił". Koprowski słabo protestował bo bał się Fornala, który odznaczał się dużą siłą. Któregoś dnia Mencel rozsiadł się na swoim posłaniu wciągając nogi z butami pod siebie i opowiadał coś wesołego przysłuchującym się kolegom. Zobaczył to strażnik przez judasza w drzwiach, wpadł gwałtownie na salę i ordynarnie zaczął go wyzywać. Mencel powiedział mu, żeby się uspokoił, gdyż był już wtedy oficerem, jak strażnik koszulę w zębach nosił. Strażnik wyleciał na korytarz i po chwili wrócił w towarzystwie dwóch kolegów i wspólnie wyprowadzili Mencla z celi. Tego samego dnia po południu, zdaje się na skutek zajścia z Menclem przyszedł do nas z całą świtą, gruby pułkownik NKWD i ze srogą miną zaczął nam grozić nawiązując do zajścia z Menclem. Powiedział nam: „Niech wam się żadnych buntów nie zachciewa, nas jest tak dużo i mamy taką moc, że wszystkich Polaków butami w błoto wgnieciemy bez użycia broni. I pamiętajcie o tym, że gdziekolwiek stanie stopa bolszewika – nie cofnie się stamtąd nigdy". Po wygłoszeniu tej groźby zwrócił się do najbliższego więźnia, a był nim porucznik Ludwik i zapytał go, czym był on w Polsce? A na to Ludwik: „Jestem oficerem w stopniu porucznika", a czy nie ma tu wyższego stopniem oficera zapytał ruski? Wskazano mu płk. Jana Marszałka. Powstał wysoki mężczyzna i wolnym krokiem podszedł do ruskiego oficera. Znowu zaczęło się wydrwiwanie Polaków, a w szczególności wojska. Marszałek stał spokojnie i czekał na pytania: Pułkownik ruski powiedział: „mówiliście przed wojną, że u nas samoloty z tektury, a czołgi z blachy, a teraz przekonaliście się co to za potęga". Na to Marszałek: „Do dzisiaj nie wiemy z czego wasze czołgi i samoloty, bo nam do was strzelać zabroniono, uważaliśmy was za sojuszników". Ruski: „ale dowiedzcie się o tem, że Polska przestała istnieć i nigdy nie powstanie". Na to Marszałek: „Wojna jeszcze nie skończona i jak długo Polacy żyć będą, będą walczyć". Na to ruski: „Nie gadajcie głupstw, my zawarliśmy wieczną przyjaźń z Niemcami i podzieliliśmy Polskę między nasze narody". Na to Marszałek: „Są jeszcze na świecie inne mocarstwa, które w tej sprawie zechcą się wypowiedzieć". To rozgniewało ruskiego, który kazał Marszałkowi wrócić na miejsce i sam ze swoim sztabem opuścił naszą salę. Płk. Marszałek wrócił na swoje miejsce i tu po drżeniu jego rąk poznaliśmy ile go kosztowało opanowanie nerwów w czasie tej rozmowy. Płk. Marszałek przez cały czas rozmowy mówił po polsku, a porucznik Ludwik tłumaczył na rosyjski. Gratulowaliśmy wszyscy pułkownikowi, że potrafił tak opanować się i tak godnie odpowiadał w swoim i naszym imieniu. Mencel wrócił na salę po 24 godz. i opowiedział nam, że rozebrano go pozostawiając tylko krótkie kalesony i zamknięto na całą dobę w karcerze. Karcer był zamknięty blaszanymi drzwiami z otworami, aby zimne powietrze tam przenikało, a podłoga byla cementowa.

Menclowi po tej izolatce nic się nie stało, nawet nie dostał kataru. Chersoń położony jest nad Morzem Czarnym, a więc ma klimat łagodniejszy i tylko temu należy przypisać, ze ludzie tam w karcerze nie zamarzają. W kilka dni później zabrano do karceru Kuczbarta, za jakieś przewinienia, ale jego zabrano wprost z karceru do szpitala, gdzie przeleżał dwa tygodnie. W tym samym czasie wprowadzono do naszej celi więźnia ruskiego. Ten od razu skierował się do Koprowskiego i koło niego się ulokował. Domyślaliśmy się, że to nowy szpicel przydzielony Koprowskiemu do pomocy. Starał się z nami zaznajomić, był bardzo uprzejmy i rozmowny, opowiadał, że siedzi za jakieś przestępstwa gospodarcze. Nazywał się Prawda. Byliśmy ostrożni i w pobliżu niego nie poruszaliśmy kwestii politycznych. Kiedy po dwóch dniach wezwano go niby na przesłuchanie powrócił stamtąd obładowany tytoniem i papierosami, wiedzieliśmy już na pewno, że to „kapuś". Prawda rozpoczął zaraz handel wymieniając tytoń i papierosy za koce, marynarki i buciki. Okazał się jednak lichym kapusiem, bo po kilku dniach przyznał się w sekrecie, że kazano mu donosić o czym rozmawiamy. Ktoś z naszych kolegów powiedział mu, że w Rosji był jeden „prawda" i tego zamknęli w więzieniu. Po dwóch tygodniach Prawdę zabrano, a Koprowskiego pobili współtowarzysze tak dotkliwie, że sam poprosił o przeniesienie. Największą bolączką więźniów były ustępy więzienne o czym mieliśmy się niebawem przekonać. W Chersoniu ta sprawa przedstawiała się jeszcze dosyć znośnie, nasza sala połączona byla z małym ustępem do którego mieliśmy w każdej chwili dostęp. Był tam takze kran z wodą gdzie można się było umyć. Rano panował tam tłok, na który narzekaliśmy, nie wiedząc co nas jeszcze czeka. Któregoś dnia po beczkę z obiadem poszedł z drugim kolegą kpt. Motyka, niosąc już pełną beczkę potknął się i złamał nogę. Zabrano go do szpitala i dopiero w II Korpusie go spotkałem. Naszą salę odwiedzał co tygodnia lekarz więzienny, obchodził uważnie całą salę wypytując czy nie ma chorych. Odnosił się do więźniów grzecznie i z sympatią. Podkreślam to, gdyż nigdzie później nie spotkaliśmy się z tak życzliwym traktowaniem. Na skutek jego interwencji zaczęto nas wyprowadzać na 15 minutowy spacer. Chodziliśmy w kółko, a strażnicy na wieżach trzymając karabiny w rękach pilnowali nas. Przy końcu lutego podano do wiadomości, że Niemców będą z więzienia zwalniać. Do zwolnienia zgłosił się Paweł Mencel, Rymer były policjant i Bachman dzierżawca z Niżniowa. Menclowi powiedziałem wprost, że powinien się wstydzić swego postępowania, jest oficerem rezerwy, byłym legionistą i kawalerem krzyża „Virtuti Militari". Nic sobie z tego nie robił i dalej prowadził starania o zwolnienie. Jak już wspomniałem był wśród nas inż. Antoni Schmidt (Szmid) i miał ponad 60 lat; kiedy przyszedł urzędnik więzienny z propozycją zwolnienia go na skutek

jego pochodzenia niemieckiego, inż. Szmid z oburzeniem odrzucił propozycję i pozostał z nami w więzieniu. Z początkiem marca 1940 r. przyszedł do naszego pomieszczenia fotograf z pomocnikiem i zaczęto fotografować nas na wprost i z profilu z przypiętą na piersi blachą, na której był numer fotografowanego więźnia. Numer wpisywano kredą, a po zrobieniu zdjęcia numer ścierano i wpisywano następny numer dla następnego więźnia. Przy stoliku robiono nam odciski palców i załączano do akt. Od tej chwili staliśmy się ciężkimi przestępcami, pomimo to, że nikt z nas nie miał za sobą ani rozprawy sądowej, ani wyroku. W tydzień po tych zabiegach kazano nam opuścić celę i zabrać ze sobą osobiste rzeczy, nazywało się to: „dawaj z wieszczami". Zgrupowano nas na podwórzu i sformowano kolumnę marszową, otoczono nas żołnierzami i psami i wygłoszono następującą przemowę: „Szag w prawo, szag w lewo prenimać budem oruzie, poniali?". A my na to „nie poniali", „Strilać budem, job waszu mać" – jak spróbujecie uciekać. Po tej delikatnej przestrodze ruszyliśmy w stronę dworca. Za peronem czekały na nas wagony więzienne, były one w połowie wysokości drugą podłogą i stanowiły piętro, wskutek tego można tam było umieścić podwójną ilość ludzi, ale za to w bardzo niewygodnych pozycjach. Okna zaopatrzone były w kraty i siatki, a drzwi bez klamek zamykane na klucz. W każdym wagonie był przedział dla kilku żołnierzy z eskorty. Przed wsiadaniem jak zwykle padł rozkaz siadania na ziemi, gdzie czekaliśmy na swoją kolejkę. To poniżające polecenie siadania, albo klękania w błocie napawało nas bezsilnym oburzeniem, tym bardziej, że z portretów na budynku stacyjnym patrzyli na nas wodzowie rewolucji: Stalin, Mołotow, Woroszyłow i inni.

(c.d.n.)

W cieniu białych nocy i czarnych dni

Droga Redakcjo!

Przesyłam swoje wspomnienia, obejmujące krótki pobyt w Tłumaczu w czasie wojny, zsyłkę do Kazachstanu i służbę frontową w 1 Dywizji Piechoty. Takie były moje losy i takie drogi wojenne.

Zastanawiałam się, czy nie posłać tego do Zeszytow Tłumackich, ale nie starczyło mi odwagi. Teraz ośmielona prośbą Redakcji, udostępniam te swoje wspomnienia do wykorzystania. Może zostaną życzliwie odebrane?

Bardzo zmartwiłam się wiadomością, że dalszy żywot Zeszytów Tłumackich jest zagrożony z powodu braku materiałów do druku. Byłaby to duża strata. Przecież jeszcze nie wszystko o tym mieście i jego mieszkańcach napisano.

Mój wuj, ks. Czesław Tuzinkiewicz, w gronie rodzinnym często opowiada różne anegdotki o dawnym Tłumaczu. Żałuję bardzo, że mimo naszych próśb i nalegań nie chciał tego nigdy utrwalić na piśmie. Obiecuję sobie, że jeśli tylko starczy mi zdrowia, zrobię to. Ale czy potrafię?

Tłumacz, jak i wszystkie miasteczka kresowe, miały specyficzny, uroczy charakter, w którym wzrastaliśmy. To już nie wróci, a więc tym bardziej należy klimat naszych Kresów Wschodnich ocalić od zapomnienia.

Wspomnienia

spisane po przeszło pięćdziesięciu latach

Janina Kochańska-Reich

Upływa szybko życie, jak potok płynie czas,
Za rok, za dzień, za chwilę razem nie będzie nas.
I nasze młode lata szybko popłyną w dal,
A w sercu pozostanie tęsknota, smutek, żal.

Tą piosenką żegnałyśmy każdy rok szkolny. Także i wtedy, w czerwcu 1939 roku, kiedy odbierałyśmy świadectwa promujące nas do trzeciej klasy gimnazjum ss. Urszulanek w Stanisławowie, śpiewałyśmy tę piosenkę nie przypuszczając, że słowa jej po raz pierwszy i już wkrótce staną się tak bardzo prawdziwe. Nie wiedziałam, że w tym dniu żegnam swoją szkołę nie na czas wakacji, ale na zawsze. Nadciągała już burza.

Wakacje u Babci (p. Emilii Tuzinkiewiczowej) w Tłumaczu były jak zawsze radosne, pełne swobody. Ale tę beztroskę od czasu do czasu zakłócały wieści nadchodzące ze świata i zwiastujące zbliżanie się czegoś strasznego, choć jeszcze nie określonego, nie zrozumianego.

Pod koniec sierpnia telefon od Ojca wezwał nas do powrotu do domu, do Stanisławowa. Pojechaliśmy najbliższym pociągiem. Na węzłowej stacji kolejowej w Chryplinie stało kilka składów towarowych, a w nich dużo wojska, koni i dział artyleryjskich. Był to pierwszy objaw zbliżającej się wojny, który sugestywnie do mnie przemówił i przeraził.

1 września raniutko odprowadziliśmy na dworzec najstarszego brata, Zbigniewa, niespełna dwudziestoletniego podporucznika kawalerii, który zgodnie z kartą mobilizacyjną miał się tego dnia stawić w Hrubieszowie. Dopiero po powrocie do domu dowiedzieliśmy się z radia, że działania wojenne już się rozpoczęły.

Wojna, jak na razie, toczyła się daleko od nas i alarmy przeciwlotnicze ogłaszane nawet kilka razy dziennie, ale nie zakończone nalotami, nie robiły większego wrażenia. Aż 8 września o godzinie 16.05 (wtedy od wstrząsów zatrzymał się zegar) spadły na naszą cichą, spokojną Dąbrowę niemieckie bomby. Dąbrowa była stanisławowską dzielnicą willową, położoną pomiędzy lotniskiem a koszarami 48 pułku piechoty, ale w dość dużej odległości od tych obiektów. A więc nie była to pomyłka niemieckich lotników, oni zupełnie świadomie zrzucali bomby na białe domy ukryte w bujnej zieleni sadów. W sam dom nie trafiła żadna, ale od wstrząsów wyleciały wszystkie szyby, obsunęły się dachówki, w murach utkwiły odłamki. Najżałośniej wyglądał ogród, cały był zryty bombami.

Rodzice, którzy zawsze przesadnie bali się o nas, postanowili, że w tak niebezpiecznym miejscu zostać nie możemy i jeszcze tego samego dnia wyjechaliśmy do Tłumacza. Nie przypuszczałam, że nasz dom, ukochaną Dąbrówkę i Stanisławów opuszczam na zawsze.

W Tłumaczu było jeszcze spokojnie. I tylko zwiększająca się z każdym dniem ilość uchodźców z zachodniej i centralnej Polski, świadczyła o rozgrywających się tam tragediach. Ludzie przyjeżdżali umęczeni, głodni, spragnieni wypoczynku. Tłumaczanie bardzo troskliwie nimi się zajmowali, spieszyli z pomocą.

W domu Babci Tuzinkiewiczowej stale zatrzymywali się uchodźcy i tu znajdowali serdeczną gościnę. Po jedno lub dwudniowym wypoczynku jechali dalej na południe, do Rumuniii. Pamiętam niektórych, a wśród nich generała księcia Poniatowskiego z synem. Generał, jak mi się wówczas wydawało, bardzo starszy już człowiek, całe godziny spędzał na studiowaniu map. Ogromnie przeżywał tragedię Polski. Przez miasto przejeżdżały całe kolumny wojsk, kierując się ku granicy rumuńskiej. Ogród Babci pełen był samochodów wojskowych, w zabudowaniach gospodarczych wypoczywali żołnierze.

Rodzice nasi znowu bali się, że tak „zmilitaryzowane" ogród i dom mogą ściągnąć bombardowania niemieckie i dlatego wszystkie dzieci z rodziny pod opieką naszej mamy, zostały wysłane do pobliskiej Jackówki, do znajomego rolnika. Po kilku dniach, 18 września wczesnym rankiem przyjechały konie z Tłumacza z wezwaniem od Ojca: „Wracajcie natychmiast!" Okazało się, że bolszewicy wkroczyli do Polski.

W domu panował nastrój przygnębienia i niepokoju. Przez Tłumacz w kierunku Rumunii ciągnęły ostatnie grupy wojsk i cywilnych uchodźców. Namawiano Ojca, ażeby z nimi jechał. Bardzo się wahał, ale jednak odmówił. Nie wiem co bardziej wpłynęło na tę decyzję, czy poczucie obowiązku wobec służby państwowej, z której nikt Go nie zwolnił, czy obowiązek względem rodziny.

Ojciec mój, mgr Leon Kochański, ukończył Wydział Prawa na Uniwersytecie Jana Kazimierza we Lwowie. Był naczelnikiem wydziału administracyjnego w randze wicewojewody w Urzędzie Wojewódzkim w Stanisławowie. W dowód uznania dla swojej pracy otrzymał w 1929 roku Medal Dziesięciolecia, w 1937 roku był odznaczony Złotym Krzyżem Zasługi, a w 1938 roku dwukrotnie: Brązowym Medalem za Długoletnią Służbę i Srebrnym Medalem za Długoletnią Służbę.

Do dzisiaj żałuję, że Ojciec nie zdecydował się na emigrację, bo wprawdzie nie wiem, jak ułożyłyby się Jego losy na obczyźnie, ale na pewno nie zaznałby męki w bolszewickich więzieniach, co dwukrotnie stało się Jego udziałem.

19 września wieczorem w mieście nie było już naszego wojska i wtedy rozeszła się pogłoska, że w nocy napadną Ukraińcy. Wobec takiego zagrożenia mężczyźni, a raczej młodzi chłopcy, zebrali się w budynku Sokoła, zdecydowani bronić mieszkańców. Wśród nich i najmłodszy brat mamy, Romuald, wówczas student medycyny. Ukraińcy nie napadli, ale tej nocy weszły do miasta wojska sowieckie. Nie wiem z której strony padł pierwszy strzał rozpętując gwałtowną wymianę ognia. Stukanie kul o blaszany dach domu i nocne ciemności wywołały przerażenie. W tej sytuacji wszyscy zeszliśmy do piwnicy. Jedynie Babcia odmówiła i powiedziała stanowczo:

– Ja po żadnych piwnicach chować się nie będę. Jak mają mnie zabić, niech mnie zabiją w moim łóżku. – I została.

A kiedy wstał dzień, szary i pochmurny, na ulicach zobaczyliśmy sowieckie czołgi i sowieckich żołnierzy. I tak było, jakby nagle świat się zawalił. Wzdłuż trasy przemarszu wojsk licznie zgromadzili się miejscowi komuniści, przeważnie narodowości żydowskiej, choć i Polacy wśród nich byli i Ukraińcy, niektórzy z flagami żółto-niebieskimi. Ale tych sowieci szybko przepędzili. W tym czasie ciocia Hela szła ulicą. Dostrzegła ją miejscowa lekarka, o której zawsze mówiło się, że jest komunistką i zawołała:

– Pani Helu, nasi przyszli! Pani się nie cieszy? – Nie, nie cieszyła się. Ciocia rozpłakała się i pobiegła.

Zaczęło się życie pod okupacją sowiecką. Trudne, smutne, w poczuciu ciągłego zagrożenia. Do Stanisławowa nie mogliśmy wrócić, bo nasz dom, łącznie z całym wyposażeniem, został zajęty przez sowieckich lotników. Ojciec był bez pracy. Wśród mieszkańców narodowości polskiej zaczęły się aresztowania i zagrożenie Ojca stawało się coraz bardziej realne. Pewnego dnia, gdy przyszli, zdążył wyskoczyć przez okno. Wreszcie powiadomiony przez kogoś życzliwego, że jest na liście przewidzianych do aresztowania, wyjechał z Tłumacza i ukrył się w Bolechowie u swojego brata. Było to 1 grudnia 1939 roku, bardzo wczesnym rankiem. Pożegnaliśmy Ojca nie wiedząc, że jest to pożegnanie już na zawsze.

Wcześniej jeszcze brat Zbysio, który walczył w obronie Lwowa, kiedy wszystko się skończyło, zjawił się w Tłumaczu, ale zaraz wyjechał i dzięki temu uniknął aresztowania. Także wujcio Tońcio (Antoni Tuzinkiewicz), brat mamy, po powrocie z frontu musiał wyjechać. Obydwaj byli oficerami i gdyby nie opuścili na czas Tłumacza, pewnie spoczywaliby teraz gdzieś w lesie katyńskim. Tak więc w domu zostały same kobiety i dzieci.

Trzeba było jakoś ułożyć sobie życie w nowej rzeczywistości. Brat Stanisław chodził do liceum, ja do gimnazjum, a siostry Renia i Lala do szkoły powszechnej.

W gimnazjum byli jeszcze polscy profesorowie, ale z czasem zaczęli się pojawiać nauczyciele sowieccy. Wśród nich była młoda nauczycielka, ale nie pamiętam ani jej nazwiska, ani jakiego przedmiotu uczyła. Natomiast doskonale pamiętam, jak po każdej jej lekcji kolega Dzidek Kasparek wychodził na środek klasy i mówił: Tfu, na psa urok taki urok.[1] Nauczycielka oczywiście nie rozumiała tego, ale reakcja klasy wyrażająca się gromkim śmiechem nie pozostawiala wątpliwości, że ta polska młodzież z niej kpi.

Wychowawcą naszej klasy (byłam wtedy w klasie trzeciej) był fizyk, prof. Smoter. Po pierwszym półroczu nasze osiągnięcia w nauce nie były imponujące. Profesor był szczerze tym zmartwiony. Pamiętam jego przemówienie do nas wygłoszone. Mówił spokojnie, bez podnoszenia głosu. W jego słowach było dużo goryczy, żalu do nas i troski o naszą przyszłość. A ta przyszłość rysowała się tak niepewnie, z czego chyba jeszcze nie zdawaliśmy sobie sprawy. Profesor pouczył nas, że powinniśmy zawsze, w każdych okolicznościach, dbać o dobre imię polskiej młodzieży. Zapamiętałam to dobrze. I dlatego potem, w czasie moich tułaczek wojennych, starałam się zawsze kierować wskazaniami mądrego profesora i wychowawcy.

Zaczęły się kłopoty aprowizacyjne. Sklepy gwałtownie pustoszały, bo przybysze ze Związku Radzieckiego wykupywali wszystko. Oczarowało ich bogactwo sklepów, czego w swoim kraju nigdy nie widzieli. Przyszła mroźna zima i braki w zaopatrzeniu w opał dawały się bardzo we znaki. Życie stawało się coraz trudniejsze, ale na szczęście nadzieja na jakiś cud, ta wierna przyjaciółka, dodawała sił do trwania. Kiedy myślę o Tłumaczu, moim rodzinnym mieście, to z perspektywy wielu lat widzę je w czas okupacji sowieckiej zawsze szare, pochmurne i dżdżyste, a przed wojną jawi mi się ono zawsze pełne słońca i pogody. Obrazy na pewno przerysowane, ale takie utrwaliły się w mojej pamięci.

Prokuratura sowiecka zabrała najpierw tę część domu Babci, którą zajmował wujcio Tońcio z rodziną. Gdy ciocię Zosię z trójką małych dzieci prokurator wyrzucił z mieszkania, przyjęli ich pp. Storożowie. Wczesną wiosną 1940 roku zabrali już cały dom, a nas, jedenaście osób, przenieśli do innego mieszkania, do dwóch małych pokoi z kuchnią. Kiedy mieliśmy już opuszczać nasze gniazdo rodzinne, w którym przyszliśmy na świat, w którym tak radośnie spędzaliśmy nasze dziecięce wakacje, Babcia kazała porządnie wysprzątać pokoje, wszystko zostawić czyste. Na nasz bunt, że po co im zostawiać dom wysprzątany, odpowiedziała:

– To nie dla nich, to przez szacunek dla domu. – Nie przypuszczałam wtedy, że do domu tego już nigdy nie wrócę.

Znaczący udział w zagarnięciu domu Babci miał tłumaczanin narodowości polskiej. Przychodził z przedstawicielami wrogiej władzy i komunikował nam ich zarządzenia. Pamiętam, jak płaszczył się przed nimi. Wcześniej wsławił się wyrąbaniem Orła, naszego godła państwowego, z pomnika. Nie wiem czym się naraził swoim mocodawcom, ale tylko kilka miesięcy korzystali z jego usług. Potem został aresztowany i zesłany do łagru. W roku 1941 w glorii męczennika zgłosił się do Armii gen. Andersa. Tu rozpoznany, stanął przed sądem polowym. Jaki wyrok dostał, nie wiem.

11 kwietnia były imieniny Ojca i w zastępstwie chorej Mamy pojechała do Niego siostra Nusia. Wtedy właśnie przyszli. W nocy z 12 na 13 kwietnia 1940 roku. Jeden był z prokuratury, drugi z NKWD, a trzeci to milicjant, miejscowy chłopak z biedoty żydowskiej. Wszyscy go znali i on znał wszystkich. Stał z karabinem, z opuszczoną głową i nie miał odwagi nikomu spojrzeć w oczy. Zaczęli od rewizji, ale przeprowadzali ją tak powierzchownie, że nikt nie miał złudzeń, że to tylko pozory. Bratu zabronili ruszać się. Gdy w którymś momencie chciał wstać, został brutalnie rzucony na łóżko. Strasznie zabolała mnie taka brutalność, pierwszy raz się z tym zetknęłam. Mama indagowana na temat miejsca pobytu Ojca odpowiadała jak zawsze, że nie wie. W końcu, kazali spakować rzeczy i oznajmili, że przesiedlają nas w „druguju obłast". Nas, to znaczy Mamę z sześciorgiem dzieci, Babcię i ciocię Jankę. Ale wtedy Janka powiedziała, że Babci zabrać nie pozwoli. Chyba, że po jej trupie. Groźbę tę potraktowała poważnie. Rozpętała się straszna awantura. Janka bojąc się, że przegra tę walkę i chcąc dodać sobie odwagi, chwyciła butelkę wódki i zaczęła ją, mówiąc obrazowo, wlewać w siebie. Któryś z sowietów odebrał jej butelkę, ale było już za późno. Nie przyzwyczajona do alkoholu i obciążona poważną wadą serca szybko straciła przytomność. Oprawcy przerazili się nie na żarty i posłali Renię po lekarza.

Niemcy jawnie gnębili podbite narody, natomiast Rosjanie robili to po kryjomu, a zatajaniem ich zbrodni zajmowała się komunistyczna propaganda. I tym razem bardzo im zależało, ażeby wszystko odbyło się cicho i spokojnie.

Przybyły z sąsiedztwa dr Zenon Hoffman odratował Jankę, a wystraszeni bohaterowie zgodzili się Babcię zostawić. Wkrótce okazało się, że miało to być tylko odroczenie, dlatego Babcia została natychmiast zabrana z Tłumacza i odwieziona do wujcia Czesia (księdza Czesława Tuzinkiewicza) do Białohorszczy koło Lwowa.

Najmłodsza z nas, wówczas półtoraroczna Marta, miała skazę białkową, co objawiało się wysypką na buzi. Mama powiedziała, że to szkarlatyna, a tej choroby Rosjanie się bali. Zgodzili się więc by Marta została. Zajęła się nią ciocia Hela.

Babcię skazano na deportację dlatego, że była właścicielką majątku, a Jankę jako jej córkę. Cioci Heli to nie objęło, bo w tym czasie już była mężatką, nosiła inne nazwisko, a zatem w ich mniemaniu nie należała już do tej rodziny.

Tuż przed wyjściem z domu, już gotowa do drogi, stanęłam przy oknie. Był brzask, niebo na wschodzie zaczynało jaśnieć. Pomyślałam, że wkrótce będzie dzień, moje koleżanki pójdą do szkoły, a co ze mną będzie? Bardzo rozczulilam się nad sobą i zaczęłam cicho płakać. Zobaczyła to Mama, podeszła do mnie i ostrym tonem powiedziała:

– Natychmiast przestań płakać! Czy nie widzisz, że sprawiasz im satysfakcję? – Bardzo mi to pomogło. I wtedy i w całym moim późniejszym życiu.

Do dzisiaj zastanawiam się, skąd moja Mama tyle sił czerpała, że w tak tragicznej chwili nie załamała się i prześladowcom potrafiła jeszcze okazać swoją dumę. Nie płakała. Dopiero potem, gdy pociąg już ruszył strasznie się rozpłakała i nie można Jej było uspokoić. Musiała cały żal, dotąd hamowany, ze siebie wyrzucić.

W końcu wyszliśmy z domu: mama, ciotka i moje rodzeństwo: Janka, Staś, Renia, Lala, Krzysia i ja. Załadowano nas do wagonu towarowego. Były tam dwie prycze, część ludzi, a było nas tam ponad trzydzieści osób, ulokowała się na pryczach, część na podłodze. Nie wiem ile było wagonów, ale bardzo dużo, pociąg był długi. W wagonie była „toaleta", oczywiście na miarę sowieckiej kultury. Była to dziura w podłodze i nic poza tym. Nawet żadnej zasłony, sami musieliśmy jakoś sobie poradzić. Było to szokujące, ale potem, kiedy w Rosji stykaliśmy się z kulturą życia codziennego tego „przodującego kraju", przyzwyczajaliśmy się, gdy nie było innego wyjścia. Wszak stale nam powtarzali: „nada prywykat".

Tym samym pociągiem, ale w innym wagonie, wywożono ciocię Zosię Tuzinkiewiczową z trojgiem małych dzieci w wieku półtora roku, pięciu lat i siedmiu lat. Za radą pani Storożowej, u której mieszkała i za zgodą tych, którzy zabierali ją z dziećmi, zostawiła najmłodszego synka Jureczka. Na dworcu kolejowym miejscowa komunistka sprawdzała obecność na podstawie listy. Stwierdziła brak dziecka i posłała po nie. Jej komunistyczne sumienie nie pogodziłoby się z tym, że jedno polskie dziecko mogłoby ocaleć. I rzeczywiście nie ocalało. W 1942 roku, na południu Związku Radzieckiego, czteroletni wówczas Jureczek umarł. Głód poczynił zbyt duże zmiany w organiźmie dziecka i lekarze już nic nie mogli pomóc.

30 maja 1940 roku brat Staś pisał do rodziny: *„Podaję wiadomości co do trasy podróży. Do Pałahicz dojechaliśmy 13-go wieczorem o godz. 7. Tam staliśmy do 6-ej rano. Całą noc przejeżdżały obok nas transporty. 1 kwietnia dojechaliśmy do Białobożnicy, a w nocy do Czortkowa. 15-go w południe dojechaliśmy do Husiatynia, tam przesiedliśmy się do wagonów rosyjskich i przed wieczorem przejechaliśmy Zbrucz. 16-go dostaliśmy chleb, a w nocy z 17-go na 18-go w Żmerynce dostaliśmy obiad. Na obiad była zupa i kasza. Dalej jechaliśmy przez Kijów, Kosiatyn(?), Kursk, Woroneż, Samarę (Kujbyszew), Ufę. Ural przejechaliśmy linią kolei transsyberyjskiej. Na jednym z wirażów widzieliśmy szczątki pociągu towarowego, który widocznie wyskoczył z szyn i stoczył się z góry. Przed Czelabińskiem skręciliśmy na południe i przyjechaliśmy do Pieszkowki. Tu od 7-ej rano do 3-ej po południu siedzieliśmy na tłumokach, aż załadowano nas na auto. Nim dojechaliśmy do Dawidówki, przejechaliśmy dwa posiołki. O wrażeniach nie muszę pisać. Tu porozdzielano nas po kwaterach."* Na końcu listu dopisek: *„Módlcie się za nas."*

Nie pamiętam dokładnie naszej podróży, trwającej dwa tygodnie i tylko pewne jej szczegóły utrwaliły mi się w pamięci. Przypominam sobie jak za Zbruczem, na Ukrainie, mijaliśmy ubogo wyglądających ludzi stojących przy torach kolejowych, którzy płakali i pozdrawiali nas skinieniem rąk. Widziałam tam orkę pługiem zaprzężonym w krowy. Na każdej stacji kolejowej, na budynkach, portrety Stalina. Z naszego transportu zabierano rodzące kobiety. W którymś miejscu, gdzieś w rejonie Uralu, na platformie naszego wagonu przysiadł, sądząc z wyglądu, rosyjski robotnik. Przez okienko podał nam karteczkę, na której napisał: „Wiozą was daleko, tam będzie bardzo źle". Ale najlepiej przechowałam w pamięci obraz umęczonych ludzi stłoczonych w zamkniętych wagonach, pod strażą, bez możliwości wyjścia na powietrze. I ból mojej Matki, co jak cierń we mnie tkwi przez wszystkie lata.

U kresu podróży przywieziono nas samochodem do małej wioski o nazwie Dawidówka. Zbiegli się ludzie, a ja zastanawia-

łam się gdzie oni mieszkają, bo dookoła, aż po horyzont, żadnych domów mieszkalnych nie mogłam dostrzec. Było tam tylko coś, co wyglądało jak nędzne obory lub stajnie. Okazało się, że to właśnie ich domy zbudowane z ziemi. Pierwsze wrażenie było straszne: potworna nędza. Okolica też nie nastrajała optymistycznie. Dookoła bezkresna równina pokryta kępkami niskich traw, żadnych drzew, żadnych krzewów. Krajobraz smutny, przygnębiający. Ale ażeby nie załamać się musieliśmy zebrać siły i rozpocząć życie w takich warunkach.

Ludzie tam byli dobrzy. I chociaż zaanonsowano nas jako polskich panów, ciemiężycieli, u mieszkańców wioski nie wzbudziło to niechęci do nas, ale zainteresowanie, a z czasem nawet współczucie. Rozlokowano nas po domach, w ciasnocie, bo chaty były małe. Za kwaterę oczywiście trzeba było płacić, najczęściej rzeczami.

Ludzie tamtejsi to Niemcy, którzy jeszcze w czasach caratu dobrowolnie osiedlili się na tych terenach. Byli to katolicy, nawet kultuwujący obrzędy religijne. Posługiwali się językiem niemieckim, oczywiście mocno zniekształconym. Jedynie starsze pokolenie znało język rosyjski. Kiedyś żyli dostatnio. Ziemi uprawiali tyle, ile byli w stanie uprawić. Plony wieźli do Trojcka, miasta najbliżej położonego, tam sprzedawali je i zaopatrywali się we wszystkie potrzebne towary. Ale tak było dawniej, potem rewolucja zmieniła wszystko. Władza radziecka wprowadziła przymusową kolektywizację. Ziemi pod uprawę przeznaczono niewiele, reszta, ogromne jej przestrzenie, leżała odłogiem. Ludziom wynagrodzenie obliczano w trudodniach. Po zbiorach kołchoz musiał oddać państwu nałożone kontyngenty, z reguły bardzo wysokie, pozostałe plony dzielono stosownie do wypracowanych trudodni. W latach urodzaju wynagrodzenie takie było wystarczające na wyżywienie mieszkańców, ale gdy na skutek niesprzyjającej pogody urodzaj był niewielki, lub gdy państwo zwiększyło nagle obowiązkowe dostawy, przy rozliczeniach okazywało się, że kołchoźnicy pracowali cały rok prawie za darmo i wtedy we wsi doskwierała bieda, albo całkiem za darmo, jak np. w roku 1941, kiedy państwo zabrało dla wojska całą wyprodukowaną żywność i w kołchozie zapanował głód.

Wioska była mała, liczyła zaledwie około trzydziestu chat. Dlatego i nas, zesłańców, osiedlono tam niewielu, tylko dziewiętnaście osób: p. Skowrońska z synami Romanem i Stanisławem, p. Szmidowa, p. Wolańska z dwiema małymi córkami i z Konstancją Radziecką, wychowanką Domu Dziecka, która pojechała dobrowolnie, by jej pomóc, p. Stefa, której nazwiska nie pamiętam i wreszcie Cesia Sobczak, nadzwyczaj dzielna i wartościowa dziewczyna, która miała pod opieką sparaliżowaną matkę i młodszego brata i musiała obowiązkom podołać. I jeszcze nas siedmioro.

Pierwsze zetknięcie ze straszną rzeczywistością i pierwszy okres pobytu na tej ziemi zapomnianej przez Boga i ludzi, z daleka omijanej przez cywilizację, gdzie z każdego kąta wyzierały nędza i prymityw, były szokujące. I chyba trzy czynniki uratowały nas przed beznadziejną rozpaczą: Pierwszy, to głęboka ufność w opiekę Boga i codzienne wspólne modlitwy (które z czasem stały się obiektem zainteresowania i niezadowolenia odwiedzających nas często enkawudowców). Drugi, to głęboka wiara, że nasz pobyt tam nie potrwa długo. I wreszcie trzeci czynnik, to życzliwość miejscowych ludzi. W Dawidówce spędziliśmy dwa lata i nie przypominam sobie, ażeby ze strony mieszkańców wioski spotkały nas przykrości.

Zachowało się sporo naszych listów pisanych do rodziny w Kraju. Przechowuję je bardzo troskliwie. zawierają one obraz naszego życia na zesłaniu i zapis wielu faktów, które pozwalają uzupełniać moje własne wspomnienia, po tylu latach już tylko fragmentaryczne.

(c.d.n.)

1) „urok" po rosyjsku to szkolna lekcja

Kościół pw. św. Anny – tłumaccy księża

Powojenne losy świątyń na Kresach

Tadeusz Pelikan

Zmiany społeczno-polityczne, jakie zaszły u naszych wschodnich sąsiadów nie pozostały bez wpływu na sytuację Kościołów i świątyń na ziemiach kresowych II Rzeczypospolitej. Pojawiły się szanse odzyskania choćby części kościołów.

Wiele świątyń oparło się niszczycielskim działaniom wojennym, ale po ich ustaniu nowa rzeczywistość zgotowała im smutny los. Był on w zasadzie podobny dla całych Kresów, tak więc pokazanie jako przykładu dwóch miast może wystarczająco zobrazować okres „wojny" wypowiedzianej świątyniom.

Małe miasteczko Tyśmienica, położone między Stanisławowem a Tłumaczem, posiadało 6 świątyń. Był tam kościół rzymskokatolicki św. Mikołaja, ufundowany wraz z klasztorem dominikańskim przez Mikołaja Potockiego w 1631 roku. Pierwszym wikarym, a w 1645 r. przeorem klasztoru był ks. Szymon Okólski, historyk, heraldyk („Orbis Polonus", „Russia florida"). Zniszczony w 1676 r.

Kościół św. Mikołaja w Tyśmienicy

przez najazd turecko-tatarski, został odbudowany już jako murowany w 1736 roku do czego przyczyniła się głównie Joanna Wielhorska, córka Dominika Potockiego. Kościół był bogato ozdobiony. Jak niegdyś w czasach najazdów nieprzyjacielskich kościół był miejscem opieki i pomocy dla miejscowej ludności, również w roku 1944 znajdowało tu schronienie przed banderowcami wiele osób spośród polskiej społeczności.

Na początku lat sześćdziesiątych przystąpiono do burzenia kościoła. Ocalał jedynie budynek klasztorny oraz kamienny krzyż misyjny, który został wywieziony i ustawiony na miejscowym cmentarzu.

Nieopodal, w samym rynku, znajdował się kościół katolicki obrządku ormiańskiego św. Kajetana. Pierwszy kościół drewniany zbudował Ormianom Dominik Potocki, kiedy to w roku 1679 wezwał ich z Kamieńca Podolskiego do osiedlania się w jego miasteczku. Budowę murowanego kościoła rozpoczęto w 1759 roku, a aktu konsekracji dokonano w 1791 roku. Na wystrój kościoła składały się cenne obrazy i organy. W jego skarbcu znajdowała się piękna monstrancja srebrna, pozłacana, z roku 1742. Kościół ten również został zburzony, a na jego miejscu zbudowano gmach komitetu partii, obecnie siedziba władz miejskich.

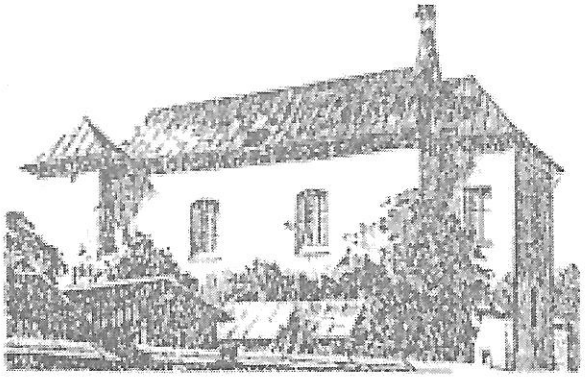

Kościół św. Kajetana w Tyśmienicy

W wymienionych świątyniach gromadzili się Polacy i nieliczni już przed wojną przedstawiciele rodzin pochodzenia ormiańskiego. Ludność ukraińska natomiast posiadała trzy cerkwie unickie.

Tuż obok kościoła ormiańskiego znajdowała się cerkiew św. Mikołaja, zbudowana w 1869 roku. Kiedy w latach pięćdziesiątych usiłowano usunąć krzyż z kopuły cerkwi, wokół zgromadził się tłum wiernych nie dopuszczając do tego wandalizmu. Bardziej aktywni z organizatorów tego protestu zostali aresztowani. Cerkiew uniknęła wprawdzie zburzenia, ale została zamknięta i ulegała stopniowemu zniszczeniu. Przez niedomknięte drzwi można było dostrzec zdewastowane wnętrze, poprzewracane ławki, pokryte osypującym się z sufitu tynkiem. Z ikonostasu w tę smutną ruinę wpatrywały się przerażone oczy bizantyjskich ikon.

Przy ulicy Stanisławowskiej znajdowała się cerkiew zwana Kokorą. Zbudowano ją w 1822 roku. Była to bardzo oryginalna drewniana cerkiew z wieloma strzelistymi wieżyczkami. Po wojnie została zamknięta, a później urządzono w niej tzw. Muzeum Historii Religii i Ateizmu. Zgromadzono tu i wyeksponowano różnego rodzaju materiały, mające na celu propagowanie ateizmu oraz pouczanie o zabobonnej istocie religii. Tam też na naczelnym miejscu umieszczono portrety tych osób, które zostały „oświecone" ateistyczną nauką, zrozumiały swój błąd i odwróciły się od religii. Na początku lat osiemdziesiątych zrezygnowano z muzeum i cerkiew zrównano z ziemią. W ten sposób miejscową ludność pozbawiono nie tylko świątyni, ale też jednego z wartościowszych zabytków budownictwa sakralnego.

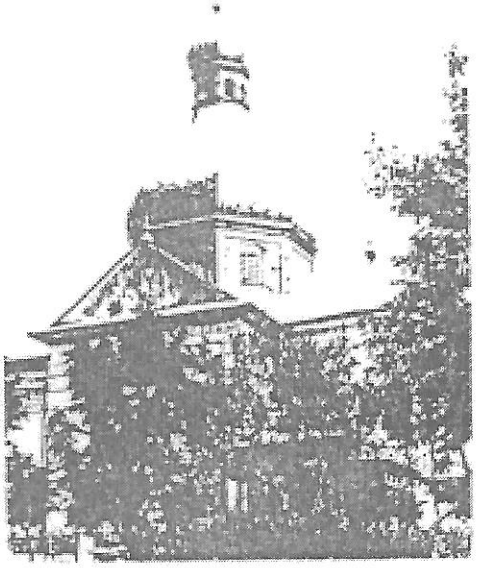

Cerkiew św. Mikołaja w Tyśmienicy

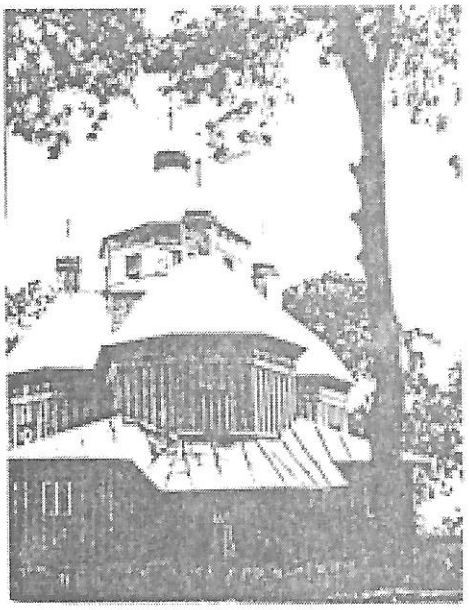

Cerkiew Monasterska w Tyśmienicy

Nowowybudowane cerkwie w Tłumaczu

1. Fot. D. Tabińska-Juhasz

1. Cerkiew Greko-Kat. (bardzo duża) wybudowana za dawną pocztą i rogiem ulicy Kościelnej. Tylna ściana cerkwi dochodzi do ulicy Grunwaldzkiej.

2. Fot. D. Tabińska-Juhasz

3.

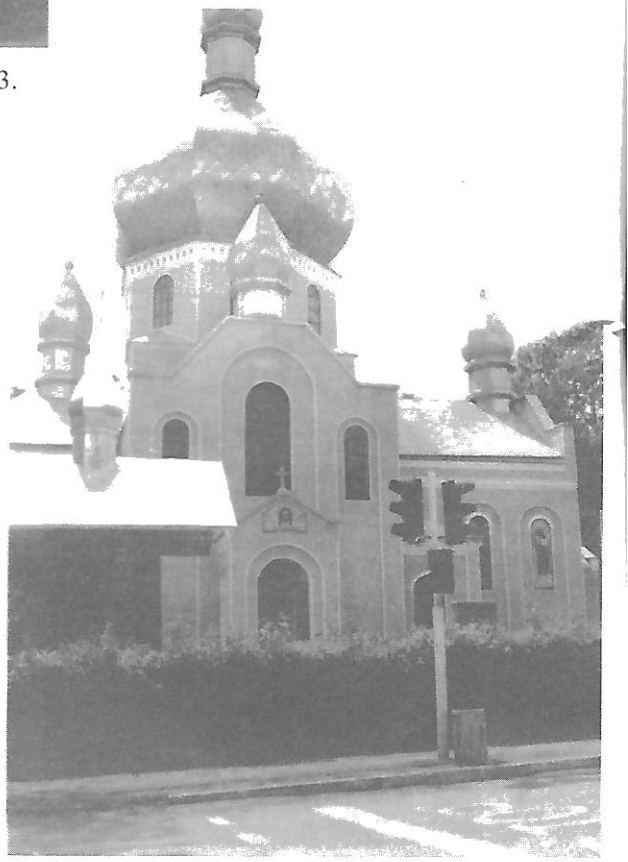

Fot. D. Tabińska-Juhasz

2. i 3. Cerkiew Prawosławna zbudowana u wylotu ulicy Słowackiego, między domem Dolajsów, a budynkiem gminy w parku

Tłumacki Holocaust

Epilog

Danuta Tabińska-Juhasz

Od pierwszego numeru ZT aż do numeru 12 drukowaliśmy przez 3 lata wyjątki z książki „The Righte ans Gentiles" wyd. w Izraelu w 1970 r. autorstwa Shlomo Blond.

Książka ta została przetłumaczona z j. angielskiego przez Michała Nikosiewicza i przekazana do druku w ZT. Dzięki temu Tłumaczanie w całym kraju, a też i na świecie mogli dowiedzieć się o losach nielicznych żydowskich obywateli naszego miasta w czasie straszliwej zagłady. W okresie przedwojennym jedną trzecią mieszkańców Tłumacza stanowili Żydzi. Mieli liczne organizacje polityczne, sportowe i kulturalne. Zajmowali znaczące stanowiska we władzach miejskich. Brali czynny udział we wszystkich uroczystościach państwowych, a nawet religijnych. Książka Shlomo Blonda posiada bardzo bogaty materiał ikonograficzny obrazujący życie społeczeństwa żydowskiego w Tłumaczu. Są to zdjęcia: grupy młodzieżowej org. „Beltar", szkoła hebrajska – nauczyciel Masze Rosental, grupa prawicowa rewizjonistów „Beter", „Brit Frumpeldor", żydowska organizacja robotników „Bund", grupa robotników „Sionu", grupa młodych strażników „Schinar Hazel", „Ruch podziemny", grupa sportowa „Hasmonea", organizacja „Kadima", organizacja „Gordonia", organizacja „Hitachdut", grupa pionierów „Halul' i „Hachohara", organizacja lewicowa „Poale-Zion".

Poniżej przedstawiamy unikalne zdjęcia z wysiedlenia Żydów z Tłumacza z 1941/42 r.

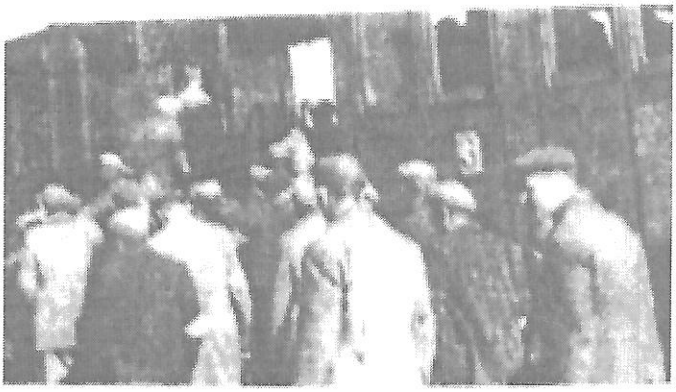

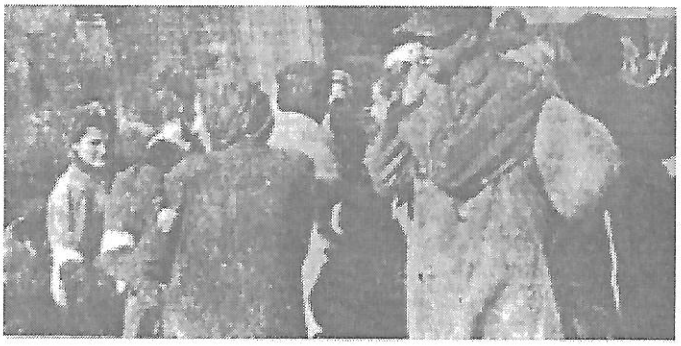

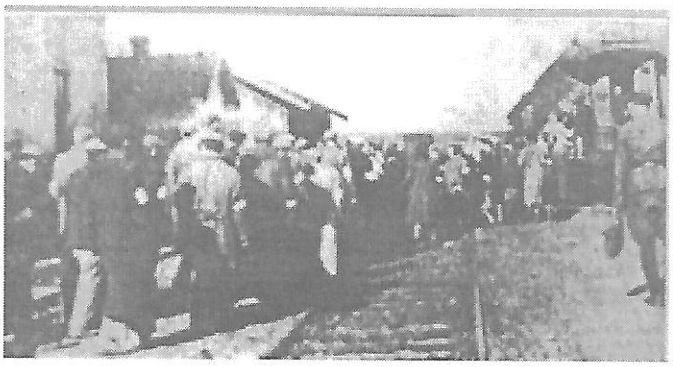

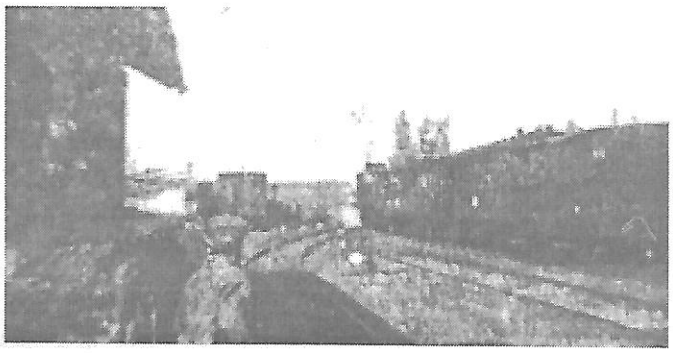

Plan tłumackiego getta

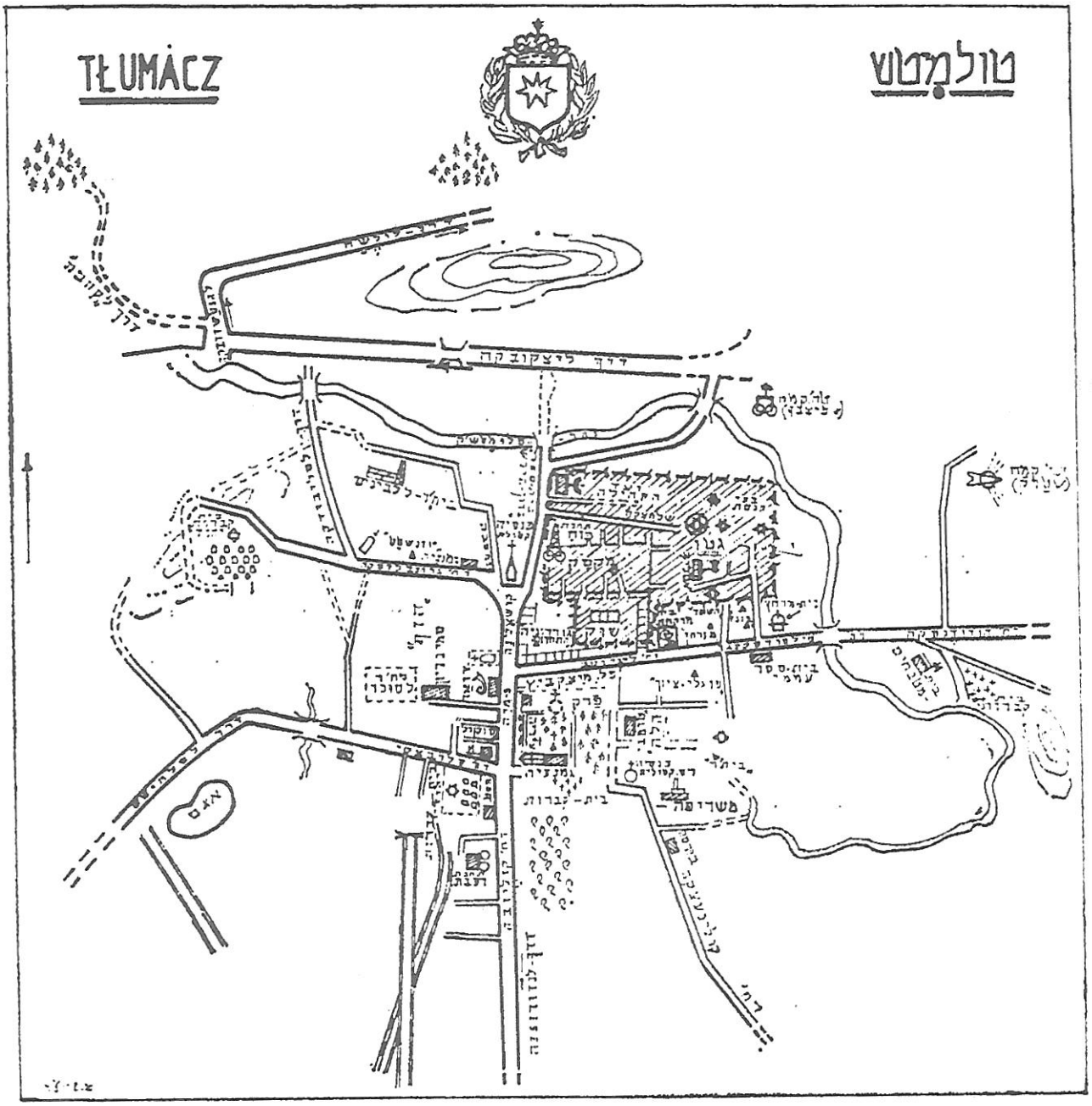

תרשים טלומץ׳ ובתוכו תחום הגיטו (שרטט מזכרונו א. שרייער)
אַ סקיצע פון טאָלמיטש מיטן געטאָ אין דער מיט (געצייכנט לויטן זכרון פון א. שרייער)

Odsłonięcie pomnika-nagrobka upamiętniającego Zagładę Żydów z Tłumacza.

Pamiątkowa Tablica Ofiar Holocaustu Tłumackich Żydów w Jerozolimie – Izrael.

Cześć Ich pamięci!

Towarzystwo Żydów z Tłumacza w Ameryce

Tłumacki Rabbi Nathan Samuel Aizner

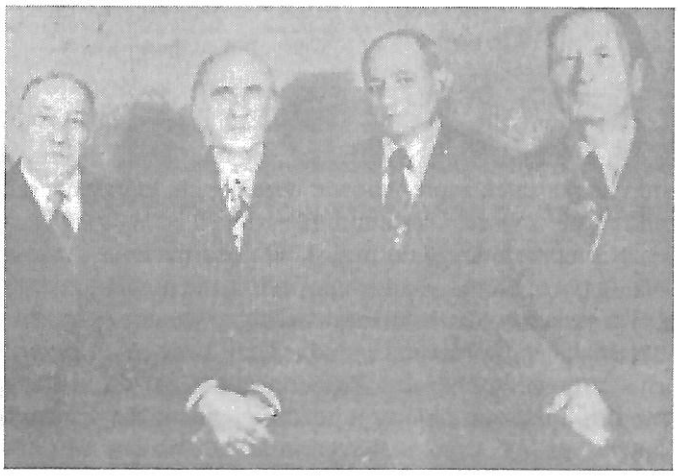

Komitet Redakcyjny cytowanej książki

Tłumaczanie pragną podziękować autorowi książki pt. „Sprawiedliwi, prawi – nie Żydzi" Shlomo Blondowi i Komitetowi Redakcyjnemu za wydanie tych tragicznych dziejów zagłady społeczeństwa żydowskiego z Tłumacza. Równocześnie daliście świadectwo prawdzie o ludziach, którzy z narażeniem własnego życia i swoich rodzin pomagali przeżyć i ukrywali często nawet nieznanych im Żydów. Wobec coraz częstszych opini w świecie o antysemityzmie Polaków, książka ta jako przykład małego tylko skrawka Polski jest tym bardziej cenna z uwagi na autentyczność relacji naszych byłych ziomków, którzy przeżyli dzięki tym „S p r a w i e d l i w y m"!

Fot. D. Tabińska-Juhasz

Synagoga w Tłumaczu przetrwała wojnę. Mieściła się w niej do niedawna drukarnia i redakcja tygodnika „Zirka naddniestrzańska". Od roku 1998 stoi pusta.

Wiadomości z życia tłumaczan

Przeżyjmy to jeszcze raz (c.d.)

Spotkania i zjazdy Tłumaczan 1945 – 1995

Janina Petrus-Duszyńska

8-22 września 1987 roku
Mostów k/Koszalina

I znowu, mimo szczerych chęci, nie udało się nam spotkać po roku, a tak, jak przed dwoma laty, decyzję o kolejnym zjeździe Tłumaczan podjął mgr Karol Mytnik, co zresztą zapowiedział w Karpaczu. Spotkanie ponownie zorganizował on w Mostowie w ośrodku wczasowym nad pięknym jeziorem, wśród lasów i borów, przypominających „wojów bolesławowych". Wspaniały kolega Karol Mytnik umożliwił Tłumaczanom znowu przeżywać piękne „górne i chmurne" lata.

Zjazd w Mostowie, tak jak wszystkie poprzednie, zgromadził tych, którzy chcieli i mogli raz jeszcze „przeżyć Tłumacz". Do udziału w spotkaniu zgłosiło się 76 osób, ale przybyły tylko 52 osoby.

W spotkaniu wzięli udział koleżanki i koledzy: Janina Białkowska-Pactwa, Anastazja Białkowska-Bogucka-Wrońska, Emilia Burczynska-Humicka, Luka – Helena Bilinska, Krystyna Bojczukówna-Marciniak, Kazimierz (Jasiu) Baranowski, Zygmunt Boniowski, Józef Czohara, Dusia Grenadierówna-Złotnik, Zofia Grabowiecka-Dąbrowska, Bogumiła Hrapkowiczówna-Przybyło, Marian Haraszkiewicz, Tadeusz Hoffman, Bronisława Jaśkiewiczówna-Burczyńska, Zbigniew Jarosławski, Stefania Kadajska-Brzozowska, Zofia Kuprasówna-Kłosowska, Maria Kornelukówna-Petrus, Tadeusz Kłonowski, Maria Lanerówna-Adamczak, Józefa Lanerówna-Glisovic, Jan Lipiński, Anna Mierzwińska-Korczowska, Jadwiga Matejkówna-Kołodziej, Krystyna Matejkówna-Nowakowska, Stefania Mańkowska, Helena Maleszewska-Zabojska, Karol Mytnik, Michał Nikosiewicz, Krystyna Ossowska-Korta, Irena Pełechówna-Ruszel, Stefania Piotrowiczówna-Pytlak, Józefa Panachida-Skowron, Czesława Panachida-Kończak, Janina Petrusówna-Duszyńska, Józef Duszyński, Władysława Słotarska-Marcinowska, Janina Sokołowska-Kubica, Emilia Śniechowska-Bilut, Danuta Tabińska-Juhasz, Mirosława Tabińska-Galant, Maria Tabińska-Pajączkowska, Anna Tomyn-Jasińska, Wiktoria Wiszniewska, Krystyna Wiszniewska-Kurzawa, Włodzimierz Wysoczański, Anna Zajączkowska-Kłonowska, Janina Zdanowicz-Głębocka, Alicja Żurawska, Anna Panachida-Bocheńska.

Widać coraz wyraźniej, że spotkania tłumackie stają się piękną tradycją podtrzymywaną przez nowe ich zastępy, wciąż zjawiają bowiem się nowo odszukani, przywożąc nowe wspomnienia, pamiętniki, zdjęcia i wszystko to, co pozwala im raz jeszcze odmłodzić się i pokrzepić serca.

Bardzo ciekawym i pozytywnym zjawiskiem tych spotkań jest uczestniczenie w nich rodzin. Tym razem przyjechały trzy małżeństwa. Tadeusz Hoffman z żoną, Marysia Lanerówna i Janka Petrus z mężami. Poza tym były trzy siostry Panachidzianki i dwie siostry Białkowskie, Matejkówne, Wiszniewskie, Tabińskie z ciocią i Stenia Kadajska z bratem Jasiem Lipińskim. W spotkaniu uczestniczyli również Tłumaczanie z zagranicy; tym razem była to Józia Lanerówna, która przyjechała z Jugosławii.

Większość uczestników przyjechała 18 i 19 września, a najbardziej charakterystyczne słowa wypowiadane w tych dniach w Ośrodku, to: „cześć", „serwus", „witaj", „ach", „och" oraz uściski, pocałunki, no i łzy. Były też i pytania „kto ty jesteś?", gdyż niektórzy spotkali się tu po raz pierwszy po 45 latach, jak Zosia Grabowiecka, Helenka Maleszewska, Mila Burczyńska, Dusia Grenadier, Czesia Panachida, Maria Tabińska czy Zbigniew Jarosławski.

Mimo że dzień pierwszy był przeznaczony na sprawy kwatermistrzowskie, nie obeszło się bez spotkań w poszczególnych domkach, gdzie odbywały się długie do wieczora trwające rozmowy.

W drugim dniu zebraliśmy się w świetlicy za jeziorem. Kolega Karol Mytnik powitał wszystkich pięknymi słowami i na początek zaproponował uczcić tych, którzy odeszli od nas na zawsze w ostatnim okresie.

Następnie odczytano przysłane pozdrowienia i życzenia od osób, które z różnych powodów nie mogły przybyć. O ich związku z uczestnikami świadczyły pełne ekspresji i uczucia wypowiedzi: „... na zjazd nie będę mógł przyjechać z powodu choroby. Za pomyślność zjazdu będę się modlił. Załączam ukłony z pozdrowieniami dla uczestników" – ks. Mieczysław Krzemiński; „... bardzo mi przykro, ale nie będę mógł wziąć udziału, za daleko to się odbywa, łączę wyrazy szacunku dla uczestników i miłe pozdrowienia" – ks. Bolesław Bilinski; „... serdeczne pozdrowienia dla uczestników zjazdu, niech czują się podczas niego radośnie i młodzieńczo; obyśmy mogli razem wziąć udział w następnym zjeździe" – ks. Lesław Jeżowski; „... z pewnością wiele tracę nie uczestnicząc w zjeździe, który ma już swoją dobrą tradycję" – Stanisław Mierzwiński; „... myślami i sercem jestem z wami" – Stanisław Prośba „z ostatniej ławki"; „... będę z wami przeżywała te piękne chwile, ślę najlepsze życzenia zdrowia i radości" – Lidia Dolhańczuk-Bargiel. Do nich też na wniosek dr. Michała Nikosiewicza, wysłano pozdrowienia z podpisami uczestników zjazdu.

Spotkanie w świetlicy zakończyło się bardzo miłym akcentem, bo na wniosek dr. Michała Nikosiewicza przyjęto do grona „tłumackiej rodziny", jako honorowych obywateli Tłumacza, męża Marysi Laner – Mariana Adamczyka i męża Janki Petrus – Józefa Duszyńskiego. Wnioskodawca stwierdził, że mimo iż nie pochodzą oni z Tłumacza to na zaszczyt ten zasługują, gdyż zostali przez żony całkowicie „zatłumaczeni".

W godzinach popołudniowych spotkano się ponownie, by wysłuchać wykładu dr. Michała Nikosiewicza o historii Tłumacza, od pradziejów aż do odzyskania niepodległości w 1918 roku. W czasie prelekcji doktor zrobił nam sprawdzian ze znajomości Tłumacza, podając nazwy ulic, które należało umieścić w „terenie". Okazało się, że niewiele pamiętano. Aby więc przybliżyć Tłumacz, Janeczka Sokołowska odczytała swoje wspomnienia klasowe z gimnazjum. Wystąpienie Janeczki bardzo się podobało i nagro-

Tłumaczanie w oczekiwaniu na wykład dr. M. Nikosiewicza

dzono je oklaskami. Tak, jak na wszystkich spotkaniach, tak i obecnie dr Nikosiewicz zwrócił się do zebranych z apelem o pisanie wspomnień z Tłumacza i zbieranie wszystkich możliwych o nim pamiątek. Stwierdził, że jest to już „ostatni dzwonek", gdyż pamięć ludzka jest ulotna. W nastroju pełnym wrażeń spotkanie zakończyło się o godzinie 19. Nie był to jednak jeszcze koniec spotkania w tym dniu, zaczynały się bowiem znowu „nocne posiedzenia". Wszyscy się wzajemnie zapraszali na słynne „tłumackie wspominki".

Trzeci dzień zjazdu prrzywitał uczestników piękną słoneczną pogodą. Po śniadaniu były indywidualne wyjazdy do kościoła. Na placu ogniskowym zgromadzono opał przez Jasiów Lipińskiego i Baranowskiego oraz dwóch „zatłumaczonych mężów", w czym dzielnie im pomagali Tadzio Hoffman z małżonką.

Tego dnia do ośrodka przyjechali spóźnieni Józek Czohara i Zbyszek Jarosławski (po raz pierwszy). Wieść o ich przybyciu rozeszła się błyskawicznie. Po powrocie z kościoła w domkach odbywało się indywidualne podejmowanie gości. Największym „szlagierem" był piernik przywieziony przez ciocię Danusi – panią Marię Tabińską oraz pyszne ciastka przekładane konfiturą z ucieranej róży, upieczone według przepisów naszych tłumackich mam przez Adę Słotarską. Po obiedzie, ponownie w świetlicy, w skupieniu słuchano dziejów Tłumacza w okresie dwudziestolecia, opracowanych przez dr. Nikosiewicza. Zabierając głos w dyskusji, Danusia Tabińska poinformowała, że w okolicach Wrocławia znajdują się skarby z tłumackiego kościoła w postaci monstrancji i obrazów. W Siedlakowicach, w małym kościółku, jest obraz św. Anny, który przywieźli Tłumaczanie z Jackówki. Jest on zniszczony i wymaga natychmiastowej renowacji. Zaproponowała, aby tłumaczanie zajęli się tą sprawą. Zobowiązała się skontaktować z konserwatorem zabytków, znaleźć wykonawcę i wycenić koszty. Nieoceniony Karol Mytnik stwierdził, że należałoby w przyszłym roku w czerwcu lub we wrześniu zorganizować zjazd w formie tygodniowych wczasów w okolicach Wrocławia ze zniżką dla emerytów i rencistów. Wczasy te należałoby połączyć z wycieczką do miejsc, gdzie znajdują się pamiątki tłumackie i podjąć decyzję o wkładzie Tłumaczan w ochronę naszych skarbów. Wniosek ten zaaprobowano jednogłośnie.

Na zakończenie wieczoru Irenka Pełechówna odśpiewała „rymowankę" pod adresem naszych organizatorów.

I tak zjazd w Mostowie
W domkach koło stawu
Urządziła sobie
Brać tłumacka znowu...

Ten pełen radości dzień skończył się tradycyjnym ogniskiem przy którym śpiewano „Płonie ognisko", „Wieczorny dzwon", „Z młodej piersi się wyrwało", „Gdzie szum Prutu", „Czerwone maki", „Wojenko, wojenko", a także nową piosenkę o dziadku, opracowaną przez Karola Mytnika:

Poszła babcia hen do lasu
Do zielonego, ha, ha, ha
Napotkała w lesie dziadka
Jeszcze szwarnego ha, ha, ha

Po części patriotyczno-sentymentalnej były wesołe skecze i monologi w wykonaniu Irenki Pełech i Janeczki Sokołowskiej oraz Tadeusza Hoffmana. Po wygaśnięciu ogniska uczestnicy rozeszli się do domków na dalsze nieskończone „wspominki".

W czwartym dniu pobytu spotkano się przy domku „dyrekcji". Była piękna pogoda, więc „nadworni" fotografowie – panowie Nikosiewicz i Haraszkiewicz robili zdjęcia, aby utrwalić na wieczną pamiątkę radosne lica uczestników.

Następnie odbyła się wycieczka do Kołobrzegu, historycznego miejsca drugich w historii zaślubin Polski z morzem w 1945 roku, która dostarczyła uczestnikom niezapomnianych przeżyć i wrażeń. Po powrocie z wycieczki odbył się wieczorek pożegnalny, na który Tłumaczanki przygotowały kolorowe kanapki, piernik od „cioci" Tabińskiej oraz babkę „zebra" od Ali Żurawskiej. Kawę, herbatę oraz inne napoje podawał „personel" – Tadzio Kłonowski i Józek Duszyński.

Na zakończenie wieczoru Karol Mytnik podziękował wszystkim za udział we wspólnej pożegnalnej kolacji i zaintonował piosenkę „Upływa szybko życie", z której słowami na ustach rozchodzono się do domków na dalsze nocne pogwarki.

Piąty dzień spotkania przeznaczony był na wyjazdy. Opuszczano ośrodek w smutku i radości, w smutku gdyż trzeba było żegnać się z bliskimi, z którymi spędziło się pięć pięknych, niezapomnianych dni, w radości – bowiem wszyscy mówili, „do zobaczenia na następnym spotkaniu".

9-15 września 1988 roku Trzebnica k/Wrocławia

Zjazd ten zorganizowały i wspaniale przeprowadziły siostry Panachidówny – Józefa Skowron i Anna Bocheńska, których doradczynią i współorganizatorką była zawsze niestrudzona Danuta Tabińska-Juhasz.

W zjeździe udział wzięło 71 osób: Marian Adamczyk, Kajetan Agopsowicz, Kazimierz Baranowski, Janina Białkowska-Pactwa, Jan Bielański, Helena Bilińska, Józefa Bilińska-Agopsowicz, Zbigniew Bojczuk, Zygmunt Boniowski, Jadwiga Burczyńska-Storożenko, Zygmunt Burczyński, Antonina Czohara, Józef Czohara, Michał Desiewicz, Maria Dębiec-Kasperowicz, Józef Duszyński, Krystyna Gałdzicka, Zygmunt Gałdzicki, Władysław Geruła, Zofia Grabowiecka-Dąbrowska, Maria Grabowiecka-Dostał, Zygmunt Guszpid, Marian Haraszkiewicz, Stanisława Hoffman-Nowak-Kożuchowska, Bogumiła Hrapkowicz-Przybyło, Bronisława Jaśkiewicz-Burczyńska, Jan Johnson, Stefania Kadajska-Brzozowska, Marian Kasperski, Mieczysław Kłónowski, Czesława Koczwara-Kałuża, Stanisława Korneluk-Korybska, Maria Korneluk-Petrus, Maria Laner-Adamczyk, Żanetta Lebzelter-Knobloch, Jan Lipiński, Gustaw Ładzieński, Jan Majdański, Stefania Mańkowska, Maria Miarczanka-Ligęza, Anna Mierzwińska-Korczowska, Edwin Misiecki, Karol Mytnik, Michał Nikosiewicz, Krystyna Ossowska-Korta, Anna Panachida-Bocheńska, Irena Pełech-Ruszel, Helena Petrus-Biedka, Janina Petrus-Duszyńska, Bolesław Petrus, Stefania Piotrowicz-Pytlak, Edward Piotrowicz, żona Emila Stefania Piotrowska, Ryszard Radomski, Jerzy Rostropowicz, Władysława Słotarska-Marcinowska, Józefa Skowron-Panachida, Janina Sokołowska-Kubica, Wacława Sokołowska-Roztoczil, Antoni Storożenko, Adam Śniechowski, Emilia Śniechowska-Bilut, Mirosława Tabińska-Galant, Danuta Tabińska-Juhasz, Zofia Wieluńska-Bojczuk, Emilia Wysoczańska-Krześniak, Eugeniusz Wysoczański, Władysław Wysoczański, Anna Zajączkowska-Kłonowska. Wśród uczestników było dwóch Tłumaczan z zagranicy: Adam Śniechowski z USA i Jan Majdański z Anglii. Przyjechała również jedna z tłumackich pedagogów Maria Miarczanka-Ligęza.

Tę wyjątkowo liczną grupę zakwaterowano w malowniczo położonym – w pobliżu lasu i dwóch jezior – ośrodku sportu i rekreacji, w dwu i trzy pokojowych domkach.

Zjazd w Trzebnicy miał wyjątkowo podniosły charakter, co wymagało od organizatorek szczególnej inwencji i dużego wysiłku. W jednej jego części bardzo dużo czasu poświęcono na czytanie i poprawianie zgromadzonych już materiałów dotyczących Tłumacza w latach 1939-1945. Druga część zjazdu miała charakter pielgrzymki „śladami tłumackich obrazów" i dostarczyła uczestnikom wiele przeżyć i wzruszeń.

Już w przeddzień spotkania zaczęli przyjeżdżać pierwsi, ci najpunktualniejsi uczestnicy, oni też wychodzili naprzeciw kolejnym koleżankom i kolegom. Witając ich serdecznie z uśmiechem i radością na twarzy, pomagali nieść torby i walizki z przystanku autobusowego do ośrodka, do którego było dość daleko. Przez cały dzień słychać było powitania i radosne okrzyki: Cześć!, Czuwaj!, Witaj stary! rany Boskie, kogo widzę! itp.

Pierwszy dzień przeznaczony był wyłącznie na zakwaterowanie, zameldowanie i odpoczynek po podróży, jednak do późnych godzin nocnych słychać było rozmowy w domkach.

Drugi dzień rozpoczął się zebraniem na boisku sportowym, gdzie w imieniu organizatorów powitała wszystkich nagrodzona dużymi oklaskami Danuta Tabińska-Juhasz. Następnie minutą ciszy uczczono pamięć Tłumaczan zmarłych w ostatnim okresie.

Dr Michał Nikosiewicz podał treść kilku zawiadomień przekazanych telefonicznie.

Z ogromną satysfakcją wysłuchano następnie treści artykułów z „Ekspresu-Kulis" z dnia 22 kwietnia 1988 roku, napisanego przez redaktora Bogdana Jamrozika pt. „"Warszawskie „miasteczko w mieście". O nazwie z dalekiego Pokucia (Tłumacz)", który przeczytała nam Wacława Sokołowska-Roztoczil. Poczuliśmy dumę, że miasto Tłumacz znane jest dziś nie tylko samym tłumaczanom, co potwierdziło się dodatkowo, gdy dr Michał Nikosiewicz przekazał relacje z książki wydanej w Izraelu przez Związek Żydów z Tłumacza, mówiącej o losach Żydów i Polaków w czasie okupacji.

Z kolei Wacława Sokołowska-Roztoczil odczytała wspomnienia i relacje pani Srokowej, Janiny Urbaniak, Mariana Rolewicza i innych Tłumaczan z okresu lat wojny, a obecni wprowadzali poprawki i uzupełnienia do owych zapisków.

Na zakończenie porannego spotkania w pierwszym dniu Anna Panachida-Bocheńska podała bogaty program trzebnickiego zjazdu. W godzinach popołudniowych odbywało się dalsze czytanie wspomnień i relacji Tłumaczan o ich mieście.

Trzeci dzień był dla nas dniem, który dał najwięcej przeżyć i wzruszeń. Rano pojechaliśmy autobusem do Kątów Wrocławskich na wspólną Mszę Świętą do kościoła, w którym znajdują się dwa cenne tłumackie obrazy: Matki Boskiej Częstochowskiej i Pana Jezusa dźwigającego krzyż oraz monstrancja również z kościoła tłumackiego, przywieziona przez ks. Piszczora (ks. Piszczor został wydalony z Tłumacza i przyjechał na Ziemie Odzyskane, gdzie w Kątach Wrocławskich objął probostwo). Pod obrazami, które umieszczone są w bocznych ołtarzach po lewej stronie, złożyliśmy bukiety kwiatów i długo staliśmy modląc się jak ongiś przed laty, kiedy byliśmy jeszcze małymi dziećmi, a potem uczniami gimnazjum i liceum. Msza święta w intencji Tłumaczan-pielgrzymów, celebrowana przez ks. proboszcza dziekana prałata Józefa Zielińskiego, była bardzo uroczysta. Kazanie wygłosił ks. wikary Ireneusz Walczyk, tak doniosłe i patriotyczne, że wszystkich wzruszyło do łez. W kazaniu odczytano cytaty z kazania przekazanego nam przez ks. prałata Romana Dacę, który tym razem nie mógł być razem z nami. Po nabożeństwie pojechaliśmy do wioski Siedlakowice, gdzie znajdują się jeszcze dwa pamiątkowe dla nas obrazy: Św. Anny z ołtarza głów-

W Siedlakowicach przed Obrazem Św. Anny

nego i Matki Boskiej Nieustającej Pomocy z bocznego ołtarza kościoła w Tłumaczu. W Siedlakowicach kol. Zygmunt Gałdzicki odczytał nam pełną treść kazania ks. prałata Romana Dacy, potem śpiewaliśmy pieśni maryjne – te nasze, z lat naszej młodości w Tłumaczu, a Anna Panachida-Bocheńska recytowała piękne wiersze patriotyczno-religijne, ułożone na Sybirze.

Jeszcze jednym szczególnym przeżyciem tego popołudnia było spotkanie z krajanami z Jackówki k/Tłumacza, którzy po wojnie osiedlili się właśnie w Siedlakowicach i na wiadomośc, że przyjechali Tłumaczanie, przyszli nas powitać.

Dalszy ciąg naszej pielgrzymki modlitewnej miał miejsce w czwartym dniu spotkania, podczas wycieczki do Wrocławia, gdzie w Kościele Św. Doroty i Stanisława znajduje się obraz „Najświętszego Serca Pana Jezusa" z napisem „Jezu cichy i pokornego serca, uczyń serca nasze według Serca swego", przywieziony po wojnie przez Tłumaczan. W kościele tym znajduje się tablica poświęcona pamięci „Poległych i pomordowanych w latach 1914-1945 r. Profesorów i uczniów gimnazjum i liceum tłumackiego".

We Wrocławiu oglądaliśmy ponadto „Panoramę Racławicką", która zrobiła na nas ogromne wrażenie i zwiedziliśmy liczne zabytki Wrocławia. Z zabytkami miasta zapoznawała nas Zofia Grabowiecka-Dąbrowska była tłumaczanka – obecnie wrocławianka. W drodze powrotnej zwiedziliśmy przepiękną katedrę w Trzebnicy.

Efektem „pielgrzymki śladami tłumackich obrazów" było jednogłośne podjęcie decyzji o renowacji obrazu Św. Anny w Siedlakowicach oraz ufundowanie tablicy ku czci ks. Proboszcza E. Tabaczkowskiego. Realizacji tego przedsięwzięcia podjęli się Danuta Tabinska-Juhasz, Bolesław Petrus i Zygmunt Guszpid.

Piąty dzień spotkania był dniem rekreacji i odpoczynku. Jedni poszli wówczas zwiedzać samą Trzebnicę, inni zaś na spacer po jej pięknej okolicy. Wieczorem odbywały się wzajemne odwiedziny koleżanek i kolegów z tej samej klasy, goszczono się kawą, herbatą i wspaniałymi wypiekami przywiezionymi z domów. Były wspomnienia osobiste – z lat szkolnych, z lat okupacji i z pobytu na zimnym i strasznym Sybirze oraz dyskusje, dyskusje, dyskusje...

W szóstym dniu spotkania odbyło się oczywiście tradycyjne ognisko, na które część artystyczną opracowały i zrealizowały niezastąpione, pełne inwencji i energii: Irenka Pełech-Ruszel, Janeczka Sokołowska-Kubica i Czesia Koczwara-Kałuża. A oto krótki jego opis: „... Już na dobre ściemniało się, gwiazdy rozbłysły na firmamencie, ognisko płonęło a iskry strzelały wysoko w górę. My opiekaliśmy smaczne kiełbaski i częstowaliśmy się jabłkami przywiezionymi przez siostry Petrusówne od wujcia tłumaczanina z okolic Trzebnicy." Wokół ogniska tworzyły się grupki, dzielono się ostatnimi wrażeniami i wymieniano adresy. Śpiewaliśmy nasze dawne, sprzed lat piosenki i choć siwizna pokryła skronie zdawało się nam, że znów mamy po 18 lat.

Ognisko – jak zazwyczaj – było czasem radości i rzewnych wspomnień, a najbardziej wzruszyli się Jan Majdański, który po raz pierwszy przyjechał z Anglii do kraju i spotkał się z nami i Adam Śniechowski z USA. Janek Majdański dyrygował, śpiewał, a w jego oczach błyskały iskierki szczęścia i łzy radości. W końcu jednak Edwin Misiecki – muzyk – nie wytrzymał i sam poprowadził profesjonalną dyrygenturę, za co oklasków dostał co niemiara.

Irena Pełechówna-Ruszel, nasza „kierowniczka artystyczna", przygotowała skecze, którymi na koniec rozweseliła całe tłumackie towarzystwo. Godziny leciały szybko, jak nasze życie, czas był już kończyć, ale trudno się rozstać. Do późnych godzin nocnych rozbrzmiewały jeszcze piękne melodie, śpiewane przy dogasającym ognisku.

Tłumaczanie z Nysy – Czesia Koczwara-Kałuża i Jan Johnson – zobowiązali się zorganizować następny zjazd w Nysie, co przyjęte zostało z dużym aplauzem. *(c.d.n.)*

Spotkanie opłatkowe

Roma Lityńska-Króliczek

W dniu 16 I 1999 r. odbyło się we Wrocławiu spotkanie opłatkowe dawnych mieszkańców Tłumacza, zrzeszonych w TML – Ogólnopolski Oddział Tłumaczan. Tak bardzo oczekiwane przez zainteresowanych spotkanie sprawiło, że przez kilka godzin mogliśmy się sobą nacieszyć, podzielić opłatkiem i złożyć trochę spóźnione życzenia świąteczno-noworoczne. Frekwencja dopisała, zjechali się dawni Tłumaczanie z różnych stron Polski: z Lublina, Warszawy, Gliwic, Katowic, Lubska, Stargardu Gubińskiego, Żar, Łodzi, Oławy, Opola, Nysy itd.

Nasze spotkanie zaszczycił swoją obecnością red. Zbigniew Umański, przedstawiciel Zarządu Głównego

TMLiKPW. Jak zawsze, na tego rodzaju zjazdach, panowała przemiła, serdeczna i rodzinna atmosfera. Kto nie wierzy, niech się przekona sam, przyjeżdżając na takie spotkanie w przyszłym roku; będzie mile widzianym i serdecznie witanym gościem. Prezes Z. Burczyński odczytał listy i kartki od Tłumaczan z życzeniami dla zebranych Koleżanek i Kolegów na opłatku we Wrocławiu. Następnie kolędowaliśmy, wspominali nasze strony i młode lata i znowu kolędowali... Pragnę z całego serca podziękować Zarządowi za organizowanie nam takich świątecznych spotkań, które naprawdę są nam bardzo potrzebne. Również bardzo potrzebne są nam Z.T. – dlatego jestem pełna szacunku i uznania dla pracy Redakcji i życzę Im dalszych sukcesów w pracy.

Fot. K. Bojczuk-Marciniak

Tłumaczanie przy stole opłatkowym

† Odeszli

Wspomnienie o Włodzimierzu Wysoczańskim

Dnia 10 stycznia 1999 r. zmarł nasz kolega i przyjaciel Włodzimierz Wysoczański, przeżywszy 84 lata.

Urodzony 19 listopada 1914 roku w Tłumaczu, tu uczęszczał do szkoły powszechnej i gimnazjum, a po ukończeniu służby wojskowej w Kawalerii na Pomorzu – wrócił do rodzinnego miasta i podjął pracę Instruktora do spraw Szlachty Zagrodowej we wsi Dolina. Po wkroczeniu do Polski Armii Radzieckiej we wrześniu 1939 r. wrócił z Doliny do Tłumacza. Aresztowany przez NKWD przesiedział krótki okres w więzieniu. Dzięki intensywnym staraniom jego przyjaciela Jana Czohary został uwolniony. Okupację hitlerowską przetrwał pracując w majątku ziemskim w okolicach Horyhlad. Krótko przed powtórnym wkroczeniu Wojsk Radzieckich – uprzedzony przez zaufanego pracownika – ucieka przed tropiącą Go bandą UPA – na koniec wpław na drugą stronę Dniestru, by po kilku dniach znaleźć się w rodzinnym domu w Tłumaczu.

Po wyparciu przez Armię Radziecką Niemców zostaje wcielony do Armii Kościuszkowskiej. Po zakończeniu wojny i demobilizacji przez krótki okres mieszkał w Gdańsku, stąd przeniósł się do Warszawy, której nie opuścił już do śmierci. W Warszawie pracował najpierw w Ministerstwie Żeglugi, a następnie w Żegludze Rzecznej na Wiśle.

Włodek był doskonałym sportowcem, pływakiem i lekkoatletą. Zawsze schludnie i elegancko ubrany. Był również bardzo uczynny i skory w każdej sytuacji do udzielania rad i pomocy potrzebującym. Zmarł po długich cierpieniach,

Trzej przyjaciele. Od lewej: Józef Czohara, Edwin Misiecki i śp. Włodzimierz Wysoczański

a pogrzeb odbył się 19 stycznia na cmentarzu komunalnym w Warszawie – Wólka Węglowa.

W pogrzebie oprócz najbliższej rodziny i przyjaciół znaleźli się przedstawiciele Min. Żeglugi, ZBOWiD i naszego Towarzystwa z dr. M. Nikosiewiczem na czele. Opuścił tłumacką rodzinę wierny kolega, uczestnik wielu zjazdów.

Cześć Jego pamięci.

Tłumaczanie

Śp. Henryk Wilczewski

Urodził się 28.08.1929 r. w Stanisławowie w rodzinie zamieszkującej Kresy od wielu pokoleń. Ojciec kpt. Leon Wilczewski podlegał rozkazom wojskowym i dlatego wraz z rodziną przenosił się często do różnych miejscowości. W ten sposób Henryk poznał w dzieciństwie Tłumacz, Kałusz i Stanisławów. W Tłumaczu chodził przed wojną do szkoły powszechnej. Te miasta pozostały w Jego pamięci na zawsze, czemu dawał wyraz pisząc wspomnienia i wiersze. W 1945 r. wraz z rodzicami i bratem osiedlił się w Gliwicach. Studia ekonomiczne ukończył we Wrocławiu. Pracę podjął w Gliwicach w przemyśle materiałów ogniotrwałych. Pełnił różne funkcje, w tym wiele kierowniczych. Uzyskał odznaczenia państwowe. Całe życie pasjonował się historią i heraldyką i był znawcą tych dziedzin. Był stałym korespondentem „Zeszytów Tłumackich". Zasilał je swoją poezją i artykułami wspomnieniowymi. Będzie nam brakowało Twoich subtelnych rymów i trafnych refleksji.

W dniu 4 stycznia 1999 roku odszedł nagle nasz nieodżałowanej pamięci Kolega pozostawiając w żalu przyjaciół z Tłumacza.

Moje wspomnienie o Henryku Wilczewskim

Kornelia Szankowska

Poznaliśmy się najzwyczajniej:
Na miejskim „corso" – tu w Gliwicach.
Przez wiele lat po tych ulicach
Chodziliśmy nie wiedząc sami,
że tyle wspomnień jest za nami.
A potem był już temat-rzeka,
że było miasto i apteka...
I nowa wieść, że są „Zeszyty",
że Tłumacz żyje we wspomnieniach
i dalej jest, chociaż go nie ma...
Że kiedyś Henryk idzie z mamą
i obok ich pies Lord i jest rano,
a przed apteką Boksio leży
i do intruza zęby szczerzy.
Boks aptekarski – Lord Kapitana
walka od razu nierozegrana.
Psy zwarte gryzą się zajadle
z apteki Stryj wybiega nagle –
by je rozdzielić.
I wtedy Lord swe kły obnaża –
odgryza palec aptekarza!
Leje się krew i teraz my
mówiliśmy o „więzach" krwi.
Znaliśmy się i spotykali
Gotowy temat był „na fali"
Zawsze rozmowę poprzedzało
to co sprzed wojny pozostało:
Szarmanckie zdjęcie kapelusza
i to co serca daru porusza:
takie urocze „cajerączki".
Co słychać, jakie nowe wieści?
Często się w głowie coś nie mieści.
A co w „Zeszytach" napisali
– co teraz mamy i jak dalej?
Tak z błyskiem w oku i z wigorem
przeplatał Henryk treść z humorem.
A potem znów na pożegnanie
Owe rączek ucałowanie
– przez „cajerączki"
.....
I już się więcej nie spotkamy
doszedłeś do Niebieskiej Bramy
Panie Henryku
Nie będzie więcej takiej chwili,
gdy kapelusz Pan uchyli
z uśmiechem mówiąc: „cajerączki"!

Naszej Koleżance **Krystynie Ossowskiej-Korta** składamy wyrazy najgłębszego współczucia z powodu śmierci męża **prof. dr. hab. Wacława Korty**. Był On sympatykiem Tłumaczan i konsultantem „Zeszytów Tłumackich".

W Twoim bólu jesteśmy z Tobą Krysiu!

Przyjaciółki,
Redakcja i Zarząd

Komunikat

W związku ze zmianą właściciela ośrodka w Kołobrzegu do dnia oddania do druku niniejszego numeru ZT nie mamy wiadomości na temat terminu naszego zjazdu.

Turnus 1-14 czerwca stoi pod znakiem zapytania i być może będzie nieaktualny. Wówczas istniałaby możliwość odbycia zjazdu w terminie 1-14 września br.

W związku z tym prosimy wszystkich zainteresowanych żeby w terminie do dnia 20 kwietnia nadesłali na adres Zarządu Oddziału formalne zgłoszenie w którym należy zaznaczyć udział w zjeździe w czerwcu i jeśli tamten termin nie dojdzie do skutku czy reflektuje na przyjazd we wrześniu.

Wyznaczając termin zgłoszenia mamy na uwadze fakt, że jeżeli czerwiec będzie aktualny to będziemy mogli z wyprzedzeniem zawiadomić zainteresowanych o tym. Brak zawiadomienia Zarządu jest równoznaczny z tym, że zjazdu w czerwcu nie będzie. O ewentualnym zjeździe we wrześniu powiadomimy w Nr. 2 Zeszytów.

Zarząd.

Lista Ofiarodawców za I kw. 1999 r. (w złotych)

1. Piotrowicz Grzegorz, Tarnów 50.–
2. Jasińska Anna, Poznań 20,–
3. Boniowski Zygmunt, Kraków 66.–
4. Lipiński Jan, Głubczyce 26.–
5. Pielasz Jerzy, Gliwice 6.–
6. Czohara Józef, Chorzow 16.–
7. Kubica Janina, Warszawa 16.–
8. Reżek Janina, Warszawa 16.–
9. Szymutowicz Krystyna, Stargard Gubiński 12.–
10. Agopsowicz Józefa, Myślibórz 6.–
11. Tomynowie Irena, Włod, Warszawa 50.–
12. Juszczak Janina, Jeżów Sudecki 16.–
13. Prymakowska Józefa, N. Sól 16.–
14. Hołyńska Stanisława, Łódź 16.–
15. Strahl Mirosława, Wrocław 16.–
16. Hapoński Władysław, Lublin 16.–
17. Jankowska Henryka, Lubsko 10.–
18. Sapa Maria, Nysa 6.–
19. Bogucka Jadwiga, Gdańsk 6.–
20. Króliczek Romana, Ruda Śl. 6.–
21. Jonson Jan, Nysa 20.–
22. Jakoweńko Stanisław, Wrocław 5.–
23. Dostal Maryla, Wrocław 2.–
24. Czerniak Władysław, Miasteczko Śląs., wycieczka do Tłumacza 2.–
25. Rajewska Krystyna, Koszalin 4.–
26. Jaśkiewicz Helena, Siedlakowice 4.–
27. Mańkowska Stefania, N. Sącz 16.–
28. Szmyd Tadeusz, Kraków 34.–
29. Rzucidło Władysł., Warszawa 50.–

Serdecznie dziękujemy

Tylna okładka ZT

Przedwojenny tygodnik „Wiarus" z dn. 10.02.1935 r. podaje: Polska to 388390 kilometrów kwadratowych i 32132936 mieszkańców. Reklamuje on „Przewodnik Automobilowy po Polsce" wydany przez warszawski Automobilklub Polski w 1930 roku.

Schematyczna mapka drogowa Polski jest podzielona na 31 kart szczegółowych. Miasto Tłumacz obejmuje karta Nr 20. Przez naszą miejscowość prowadziła droga wylotowa na Bukareszt. Mieliśmy okazję przekonać się o tym w czasie ostatniej wojny.

Mapka ta w roku 1930 pokazuje tylko drogi na zachód i południe. Wschodnia ściana kraju to charakterystyczna biała plama. Widać również, że południowe tereny były już wtedy atrakcyjne dla automobilu.

Dobrze byłoby zobaczyć karty szczegółowe tego przewodnika z naszych stron. Może ktoś z czytelników umiałby je zdobyć i przesłać nam do opublikowania.

Redakcja

PRZEWODNIK AUTOMOBILOWY PO POLSCE

OPRACOWALI:

Dr. MIECZYSŁAW ORŁOWICZ
(Część opisowa)

ORAZ

Inż. ROGER MORSZTYN
(Część techniczna)

AUTOMOBILKLUB POLSKI

WARSZAWA 1930 R.

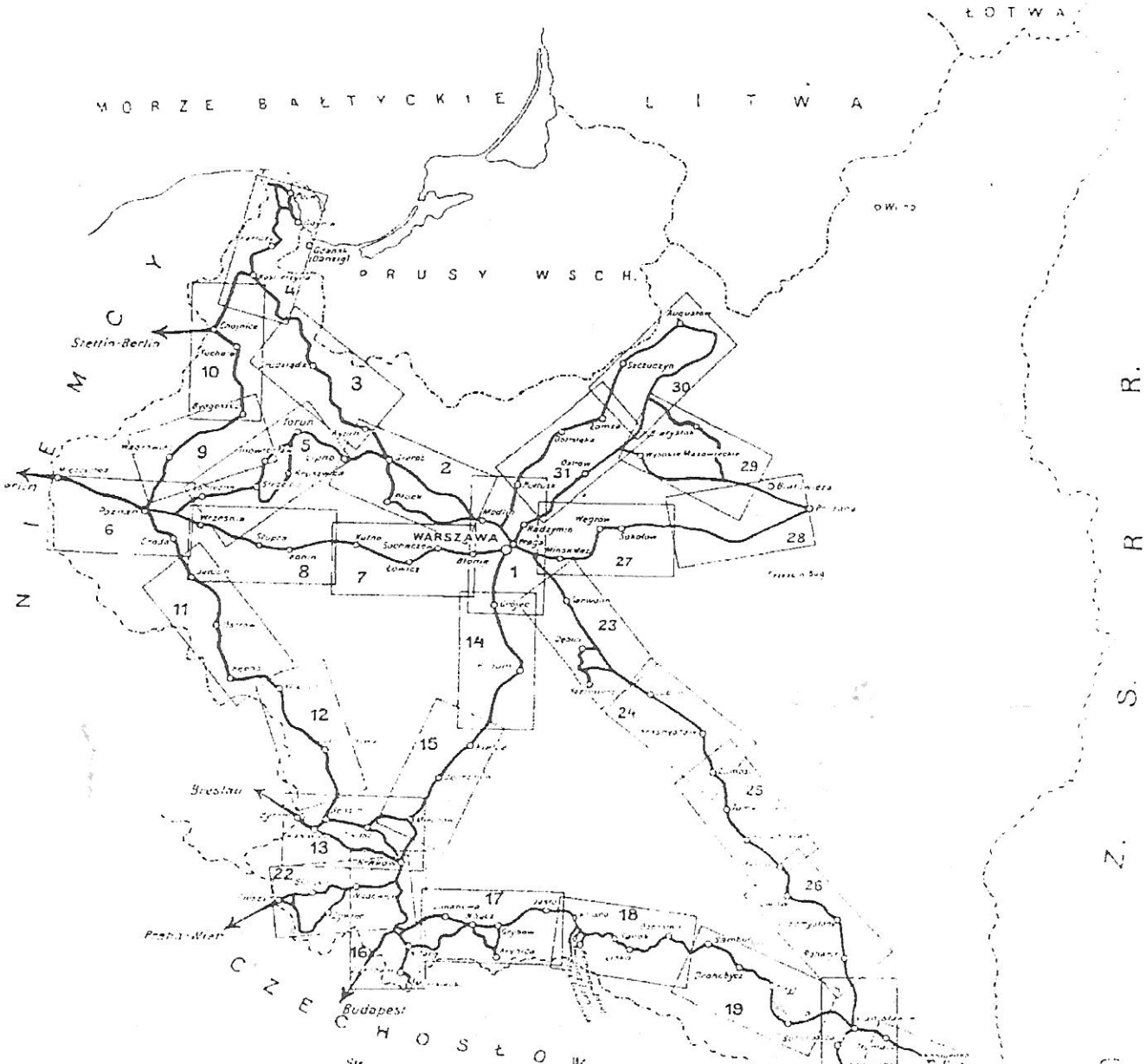

	Str.
Warszawa-Gdynia (mapy Nr. 1, 2, 3 i 4)	35 – 41
Płock-Toruń-Poznań (mapy Nr. 1, 2, 5 i 6)	54 – 57
Poznań-Gorzyczko (mapy Nr. 1, 7, 8 i 6)	75 – 78
Kraków (mapy Nr. 1, 14, 15 i 13)	112 – 115
Lwów (mapy Nr. 1, 23, 24, 25 i 26)	179 – 185
Białowieża-Augustów-Warszawa (mapy Nr. 1, 27, 28, 29, 30 i 31)	206 – 211
Poznań-Gdynia (mapy Nr. 6, 9, 10 i 4)	87 – 98
Kraków (mapy Nr. 6, 11, 12 i 13)	101 – 106
Kraków-Cieszyn (mapy Nr. 22)	131
Zakopane-Morskie Oko (mapy Nr. 16)	141
Droga Podkarpacka (mapy Nr. 16, 17, 18, 19, 20 i 21)	165 – 175
[illegible] (mapy Nr. 20, 21 i 22)	191 – 196